Poznań, dnia 1 marca 1903.



JUBILEUSZ OJCA Św.

Dnia 20 b. m. obchodził Kościół nasz niezwykłą w annalach katolicyzmu uroczystość — dwudziestopięcioletni jubileusz sędziwego Namiestnika Chrystusowego.

Dnia tego minęło ćwierć wieku od chwili, gdy kardynał Joachim Pecci, wybrany jednozgodnie głową kościoła, zasiadł na stolicy Apostolskiej.

Szczęśliwi, którzy mogli w kaplicy Sykstyńskiej ujrzeć nadziemskiem tchnieniem owianą postać Wielkiego papieża, złożyć Mu hołd w duchu i zanieść modły za Niego przed tron Najwyższego. Z garstką tych szczęśliwych kojarzyły się w myśli miliony i miliony serc katolików, rozsypanych po kuli ziemskiej, w wielkiem uznaniu ogromnych zasług Leona XIII, w nieprzebranej czci dla Jego majestatu i miłości dla Tego, który z wysokości skały Piotrowej obwieszczał ludzkości prawdy i ewangelię tolerancyi i miłości bliźniego.

My Polacy z szczególną wdzięcznością zwracamy się ku stolicy Apostolskiej, pamiętni na podniosłą Encyklikę do biskupów polskich, na słowa pociechy i pokrzepienia, wyrzeczone do pątników polskich w roku zeszłym:

„Tu w sercu mojem mam Polskę i Polaków.“

Najwyższy zatem, najserdeczniejszy hołd składamy dla „Księcia nad książętami, kierującego lepszą cząstką sił milionów ludzi, bo moralnemi ich siłami.

Z wyrazem zaś hołdu łączymy to głębokie, to najszczersze życzenie, ażeby Ojcu św. sędziwe lata płynęły bez trosk i trudności, któremi osobliwie pierwszy okres Jego panowania był przepełniony, niech dalsze dni Leona XIII płyną w pokoju, niech blask Jego tiary rozprasza mgły i mroki umysłów i serc ludzkich, znikczemniałych pod władzą sił brutalnych, sił złota i żelaza, niech najszlachetniejsze zasady chrześciańskie, których Ojciec św. Boskim jest stróżem, jeszcze pod Jego opiekuńczą ręką święcą ten tryumf, na który tyle uciemiężonych narodów czeka daremnie...

Redakcya.

Prof. Chmielowski

o walce przeciwko Czytelni kobiet.

W walce życiowej największym bodźcem jest przekonanie, iż wtórzy nam poklask ludzi wybranych, duchów potężnych, ogarniających sokolim wzrokiem szerokie horyzonty.

W walce o swobodę przekonań, jaką podjęliśmy, doznaliśmy ogromnego zadowolenia, które równa się poklaskom tysięcy, mając wymowny dowód, że mąż znakomity i potężny wiedzą, pracą, talentem, charakterem i sercem patryota i obywatel zapisany złotemi głoskami w sercu narodu, stanął w sprawie tolerancyi w poznańskiej Czytelni kobiet na zupełnie tem samem co my stanowisku.

Jest nim znakomity nasz historyk literatury prof. Piotr Chmielowski.

Szczęk broni rycerzy poznańskich walących w mury Czytelni kobiet odbił się aż o szczyty Tatr i... *„bolesną goryczą“ względem okropnych stosunków umysłowo-moralnych“* w Poznaniu napełnił polskie serce profesora Chmielowskiego, jak wyznaje to on w liście leżącym przed nami.

„Nie jestem wyznawcą socyalizmu — czytamy w tem piśmie — *ale uważam za najpiękniejszą zdobycz cywilizacyi, iż zróżniczkowania pojęć nie powinno się uważać za jakąś przeszkodę w dążeniu do osiągnięcia wspólnego celu. Uznanie rozmaitości dróg, na których cel ten osiągniętym być może, przedostał się już nawet do rządów parlamentarnych i jakiem więc prawem lekceważyć je mogą osoby prywatne, świeckie czy duchowne?“*

Słowa prof. Chmielowskiego, trafiające w sedno rzeczy, zastanowią chyba zwolenników bojkotu dla przekonań, którzy z lekkiem sercem depcą po „zdobyczach cywilizacyi.“

Kto dbały o dobro społeczne pragnie, abyśmy ani na krok nie pozostali po za innymi narodami, lecz w ewolucyi charakteru narodowego postępowali szczytnym szlakiem i tak zbroili się duchowo przeciwko naporowi niemczyzny — z głębokiem uznaniem przyjmie tę cenną wskazówkę na drogę ku „wspólnemu celowi.“

Redakcya.

Rycerze pod znakiem nietolerancyi.

Nie trudno doprawdy pojąć jak się to stało, że hasło „szanujmy przekonania innych,“ przyświecające niby latarnia morska całej kulturalnej ludzkości, spotkało się z gromkim protestem kilku osób, mających na swe usługi dwa organy prasy — osób, które widocznie po przez pryzmat egoizmu kastowego nie mogą się dopatrzeć wszechpotężnej, świętej, etycznej zasady życiowej.

Opozycya robi wrażenie chłopców, którzy wybrali się z fanfarą surm wojennych na obławę, na jednę sztukę okrzyczanej za grubą zwierzyny. Napotkawszy niespodzianie przeszkodę w postaci granitowego kolosu niebotycznej zasady albo skłonili mu się z lekka, z niechęcią, albo ominąwszy go rzucili się wprost w gąszcz i wszyscy razem strzelają do matni z wielkim hukiem, a jeszcze większą „tężyżną“ godną lepszej sprawy.

Tymczasem w matni cisza, więc „Kur. Pozn.“ załamując ręce poczyna się irytować i dziwić, że „dzień za dniem mija, a pani Gulińska wbrew ogromnej (?) większości (??) społeczeństwa pozostaje w Czytelni.“

Zniecierpliwiony „Kuryer“ grozi Czytelni, że jeżli nie ugnie kolan przed kuryerowym imperatywem, poczyta ją za „instytucyą sprzyjającą socyalizmowi,“ okrzyczy ją zaraz wrogiem społeczeństwa i — „pomyśli o środkach obrony przeciw nowemu wrogowi. „Pracy,“ która miała „smutną (sic!) odwagę“ bronić socyalizmu w Czytelni nie ma „Kuryer“ odwagi zaczepić, z obawy przed owym kolosem, na którego piedestale stanęliśmy, natomiast przez usta pana K. Brownsforda wypowiada szereg uwag, z których wyjmujemy najważniejsze zdania:

„Chodzi przedewszystkiem o nie dopuszczenie do naszych instytucyi i towarzystw kierunku, z którym my Polacy katolicy się nie solidaryzujemy.“

„Dziwić się należy mocno, że dawno już nie wykluczono socyalistki z Czytelni i *można było nad tem dyskutować wogóle.*“

„Ruch chrześciańsko-społeczny,“ wojuje przeciw artykułowi „Pracy“ frazesami, ciska garść zagadkowych rzeczowników, które zgoła nic czytelnikowi nie mówią. Do zrozumienia ich nie posiadamy klucza. Jeżeli wogóle czegoś w nich doczytać się można to chyba zupełnego braku argumentów rzeczowych, rozkiełznanej „fantazyi“ piszącego i rozpaczliwej jego „gymnastyki.“

W „Dzien. Pozn.“ ks. Zdzisław Zakrzewski w szczerym, interesującym artykule wytacza armaty przeciw artykułowi: „Szanujmy przekonania innych!“ Nie próbuje obalić zasady tolerancyi, lecz nawet *zaleca ją jako praktyczną* z tem atoli zastrzeżeniem, że według tej praktycznej zasady *„nie można postępować w wewnętrznem życiu towarzystw,* w których się łączyć powinni tylko ludzie jednych przekonań i jednych uczuć.“

A zatem ks. Zakrzewski pragnie zaprowadzić w towarzystwach — nawet w towarzystwie osób inteligentnych, żyjących także duchem, który przechodzi w naturalnej ewolucyi różne fazy — jakiś stan idealny, nieznany na tym padole płaczu w żadnem środowisku osób myślących. Jakim sposobem osiągnąć ten stan rzeczy — nie mówi ks. Zakrzewski. Może wyznaczyć areopag sędziów, który sondowałby do dna wnętrza dusz ludzkich, analizował przekonania i uczucia każdego wstępującego do jakiegobądź towarzystwa i wydawał opinię czy przekonania i uczucia jego harmonizują i... harmonizować będą zawsze z resztą członków? A czy to podobno?

Gdyby jednak, — przypuśćmy na chwilę — jakiś mocarz ducha dokonał tego kunsztu, naonczas towarzystwa nasze zaludniły-by się osobnikami bez skrystalizowanych pojęć, bez silniejszych uczuć, bez wszelkiej indywidualności, a więc — automatami ludzkimi. Powstał-by szereg wygasłych ognisk, przy których tylko można wegetować — bezdusznych bractw wzajemnej adoracyi. I cisza panowałaby taka, iż wydawałoby się, że wszyscy jesteśmy jednych przekonań, uczuć, że żyjemy w wyjątkowo dobrym, w najlepszym ze światów. A ten raj krył-by — pustkę i śmierć duchową....

W towarzystwach rolniczych np. w każdej poszczególnej sprawie objawia się sprzeczność zapatrywań — jak p. Brownsford lepiej w tej materyi poinformowany, mógłby poświadczyć — a przecież nikt nad tem nie ubolewa, przeciwnie poczytuje to za objaw żywotności towarzystw.

Za bractwo wzajemnej adoracyi poczytuje widocznie ks. Zimmermann i inni Czytelnię kobiet, jeżeli zdjął ich tak paniczny strach przed *jedną kobietą* uzbrojoną w wyrobione przekonania, która może być szczególnie groźną jedynie dla osób bez przekonania. Więc hejże na Soplicę!

Nie tak dzieje się w *świecie,* jak to mówimy, niejako zaznaczając z budu-

jącą skromnością, że u nas to nie świat w całem słowa znaczeniu, lecz tylko światek, partykularz po za granicami Europy.

Owóż w „świecie“ istnieją zbiorowiska inteligencyi kobiet, w których, bywając gościem, widywałem socyalistki poważane przez innych, chociaż wcale nie hołdujących socyalizmowi członków. Powtóre znam potężny związek kobiet pracujących, o *wybitnie religijnym charakterze,* którego podwoje stoją gościnnie otworem dla niewiast innych wyznań i wszelkich przekonań.

P. Brownsford zapewne dziwił-by się nad tem niezmiernie, ale mogę go zapewnić, iż w świecie nikt się temu nietylko nie dziwi, ale uważa za rzecz całkiem naturalną, jedynie godną społeczności kulturalnej, jedynie praktyczną i racyonalną. Nadto mogę zapewnić pana B., że społeczność nie ponosi przez tę tolerancyą szwanku, lecz przeciwnie *ciągnie z niej korzyść,* gdyż odbiera socyalizmowi jego ostrze, jego zapalczywość, jego separatyzm. Tam gdzie socyalistów nie uważa się za kretynów i paryasów, nie wyodrębnia niby trędowatych, nie wyrzuca po za ramy życia publicznego — obóz socyalistyczny przestaje być zbiorowskiem rozgoryczonych, dotkniętych bojkotem w poczuciu godności osobistej i zacietrzewionych jednostek.

Świetna, iście chrześciańska zasada tolerancyi przekonań przeszła tak w krew społeczności cywilizowanych, iż nikt nad nią nie dyskutuje.

A gdyby kto miał ośmielić się i wystąpić przeciwko socyalistkom w stowarzyszeniach, zakwestyonować czy w życiu publicznem można stósować ten dogmat — nie dyskutowano-by już nad tem, lecz wyśmiano śmiałka i odesłano go dwieście lat wstecz.

Tak jest w „świecie“ i tak jest u nas — w zasadzie przeciętnego człowieka, bo *zdrowy rozsądek i instynkt* żyjący w masach sprzeciwia się bojkotowaniu bliźnich dla ich przekonań, aczkolwiek jestemy świadkami pogwałcenia opinii, które się pomści na naszem życiu umysłowo-moralnem.

Wprawdzie poczwara socyalizmu „wciska się w nasze życie społeczne,“ ale my za słabi i niedołężni, aby z nim walczyć i zabsorbować go, *uciekamy,* oddajemy się snom słodkim o jedności przekonań i uczuć i nastajemy na jednostkę, rzucając gołosłowne zapewnienie, brzmiące może nieźle jako zakończenie artykułu, ale puste jak makówka, że znajdziemy w sobie tyle siły (zkąd?), by socyalizm odeprzeć stanowczo.“

Zamiast kruszyć kopie w niechlubnym boju przeciw socyalistce w Czytelni, należało-by chwycić się przeciw socyalizmowi jego własnej metody, a więc, uprzedzając agitatorów socyalistycznych, pójść między lud, objaśniać mu te teorye i *wyposażać masy w siłę odporną przeciw socyalizmowi. Dzisiaj nie wolno nam dłużej utrzymywać mas w nieświadomości.*

Przez wydalenie pani Gulińskiej z Czytelni wyrządzili nasi rycerze pod znakiem nietolerancyi sobie samym niedźwiedzią przysługę, bo stali się niepopularni, a *przysługę socyalistom,* bo postawili prześladowaną kobietę na świeczniku, zrobili z niej bohaterkę, ofiarę męczennicę za ideę. Cała ta sprawa posłuży za wyborny materyał agitacyjny socyalistom i tak nie przyjaciele socyalizmu *sami ukuli broń przeciw sobie.* Politycy!...

Jeżeli zasada: szanujmy przekonania innych okazuje się „praktyczną“ w życiu codziennem — jak przyznaje ks. Zakrzewski — *musi również być koniecznie dobrą w życiu wewnętrznem towarzystw,* raz dlatego, że zasada podstawowa albo jest *zawsze dobrą albo zawsze złą, albo trzeba ją stanowczo przyjąć albo stanowczo odrzucić,* bo to nie rękawiczki, które przywdziewa się przy pewnych okazyach. Powtóre zaś, że *wewnętrzne życie tow. nie jest niczem innem jak rozszerzonem życiem codziennem, a towarzystwo zbiorowym człowiekiem, którego zobowiązują te same prawa i zasady co jednostkę.*

Kto nauczył się szanować przekonania ludzkie w życiu codziennem i uzna tolerancyę za praktyczną, nie zmieni z pewnością swej skóry, wstępując w grono członków swego towarzystwa. Albo się jest tolerantem albo się nim nie jest. A ks. Zakrzewski chciałby, abyśmy stosowali zasadę, gdy nam wygodnie a odrzucali, gdy nam nie wygodnie, zapominając, że jeśli inni tak samo będą postępować, zawsze *większość traktować nas będzie z brutalną bezwzględnością.*

Z tego wynika z nieubłaganą konsekwencyą, że gdyby — jak ks. Zakrzewski pragnie — panie z Czytelni kierowały się w życiu codziennem zasadą tolerancyi — nie wydaliły-by pani G. z swego koła i ks. Zakrzewski pokonał-by się sam własnoręcznie.....

Kto głosuje za bojkotem dla przekonań, podpisuje wyrok Bismarcka którym tysiące i tysiące braci naszych skazał on na banicyą. Według poznańskich rycerzy nietolerancyi postąpił chyba mądrze. W życiu codziennem tolerował Polaków, bo im nie mógł zabronić żyć, ale w życiu społecznem uznał zasadę tolerancyi za niepraktyczną. Czy nasi rycerze uczą się etyki w szkole Bismarka?....

Jeszcze słówko.

„Kur. Pozn.“ nacechował wystąpienie „Pracy“ mianem „smutnej (sic!) odwagi“! Sądziłem dotąd, że „smutnym“ nazwać można brak przekonań, chwiejność zapatrywań, serwilizm duchowy, przedajność pióra dziennikarskiego, wprzęganie się w rydwan możnych, prześladowanie prześladowanych i zanik szczytnych pojęć etycznych w życiu publicznem. Tymczasem „Kur.“ smutną nazywa odwagę, odwagę cywilną, — poczytywaną zwykle za piękny rys charakteru — z jaką „Praca“ sama jedna ozwała się za tolerancyą w Czytelni kobiet przeciw możnej falandze ryceży, natomiast „tężyzną charakteru“ rzwie się u p. Brownsforda postępowanie zastępu mężczyzn, którzy, drząc z strachu przed jedną kobietą uderzają na nią gremialnie i, nawołując „w imię Boskie“, zwykłe przy takich okazyach nadużywane, i pod sztandarem „miłości, równości i braterstwa“ do... wyłączności nietolerancyi, bojkotu dla przekonań i tworzenia bractw wzajemnej adoracyi.

„Tężyzna“ ta, o całe niebo odległa od męstwa, imponuje nam tak mało jak strusia metoda zwalczania socyalizmu.

„Tężyzna“ ta, nie płynąca z etycznych pobudek, objawia się też w praktykach, które — jak powiada prof. Chmielowski — wytwarzają u nas zaiste *„okropne stosunki umysłowo społeczne“.....*

Nie tężyzna rozsadników obskurantyzmu, lecz nieustraszona odwaga cywilna, nawet wobec przemocy, zdobiła zawsze kokardą polski uniform „Pracy.“ I dzisiaj wierni tej tradycyi, z najgłębszem przekonaniem, że pięknej i wielkiej służymy idei, podnosimy znowu sztandar szlachetne tolerancyi przekonań, — wołając do ogółu z serdecznem napomnieniem szanujmy przekonania innych!

Quis.

Propaganda socyalizmu.

Ze zapatrywania wyrażone w artykule „Szanujmy przekonania innych“ nie były wyrazem odosobnionej opinii, lecz znalazły oddźwięk w wielu, wielu umysłach — mieliśmy sporo dowodów. Osobiście i listownie zapewniono nas z różnych

stron o jedności zapatrywań z „Pracą.“ Nadto odebraliśmy od „Vestera“ następujący artykuł:

Artykuł Quisa „Szanujmy przekonania innych“ wywołał w „Kuryerze Poznańskim“ oraz w „Ruchu chrześciańsko społecznym“ dosadni protest. Z żalem zaznaczyć musimy, że ani jeden z tych protestów nie zdobył się na żadną myśl, któraby wzbogaciła dyskusyą. Zdaniem naszem główny cel prasy stanowi właśnie dyskusya, w której się ścierają zdania. I zawsze prawdziwą radość sprawiła nam odpowiedź przedmiotowa, głębsza.

Tym razem napotkaliśmy tylko frazes. Szkoda. Nie będziemy burzyć królestwa jego. Omijamy zachwaszczone niwy, a szukamy pól żyznych, które wydają owoc — myśl.

Z pewnem zadowoleniem czytaliśmy w „Dzienniku Poznańskim“ artykuł, zamieszczony w „Głosach od przyjaciół,“ a podpisany przez ks. Zdzisława Zakrzewskiego. Bije z niego rzetelne przekonanie i szlachetna troska o dobro sprawy naszej polskiej, — a przedewszystkiem ma jednę wielką zaletę, którą oby sobie za przykład wzięli inni: jest pomimo retorycznego patosu rzeczowym.

Nim podejmiemy z Szan. Autorem dyskusyą w głównej sprawie, — trzeba nam odeprzeć myśl nawiasową, którą Szan. Autor z artykułu naszego wyczytać mniemał. Nie wyraziliśmy i nie chcieliśmy wyrazić zdania, że „prowodyrstwo duchowieństwa“ jest nam niewygodne. Nie mówiliśmy wogóle nic o „prowodyrstwie duchowieństwa,“ gdyż go u nas nie ma. — Duchowieństwo jest tylko jedną z klas społecznych, które u nas wszystkie pracują podług sił i możności. Ale stosunki nasze społeczne tak się ukształtowały, że żadne ze wspomnianych klas niema stanowczej przewagi. Słowa Bismarcka, że naród polski to szlachta i duchowieństwo, jak wszyscy dawno wiemy, przestały być prawdziwemi, odkąd lud powiedział swoje „jestem“, odkąd mamy potężny stan włościański i wypracowujące się zwolna mieszczaństwo i walczącą z twardą dolą, ale nie niknącą jednak w tłumie t. zw. inteligencyą. Żadna z klas naszych społecznych niema prowodyrstwa, — i to bardzo dobrze, gdyż wszystkie warstwy składają dopiero naród, a naród, w którym jedna warstwa braknie lub przeciwnie wybujała na niekorzyść innych to naródkaleka... Niech duchowieństwo pracuje więc dalej, jak może i umie, niech się nie obawia, że praca jego poszkoduje znaczenie i społeczną doniosłość innych warstw. — Starczy u nas pracy dla wszystkich.

Teraz przechodzimy do rzeczy głównej. Szan. Autor jest zdania, że hasło nasze: „Szanujmy przekonania drugich“ — w życiu towarzystw naszych przynieść może ujmę, — bo prowadzi do tolerowania w nich socyalistów. W zdaniu tem jest pewien pozór prawdy. W ten sposób zrobilibyśmy w danym razie z Tow. naszych rozsadniki socyalizmu. Więc cóż, stanowczy bojkot?

Pamiętajmy tylko o tem, że wyrzucając kogoś z towarzystw dlatego samego, że w głębi duszy wyznaje zasady socyalizmu, — pomimo że nie występował nigdy agitacyjnie na zewnątrz, że w towarzystwie nie zakłócił nigdy spokoju, — robimy z człowieka tego dopiero agitatora, robimy mu reklamę. Dalej zaś, a jest to najfatalniejszy skutek, otwieramy pole inkwizycyi tajnej. Ktoś powie na kogoś: socyalista, i w imię tego miana bojkotują go wszyscy. Bojkotowany ma, jak każdy, swoich przyjaciół zaufanych i odrazu z człowieka, który siedział spokojnie, pod wpływem zobopólnych namiętności powstaje partya.

Niema większej agitacyi i reklamy dla prześladowanych jak nieubłagane ślepe prześladowanie. Pani Gulińska byłaby sobie nieznaną zupełnie jednostką, gdyby nie brak taktu kilku pań oraz brak społecznego doświadczenia ks. Zimmermanna. Dziś imię p. Gulińskiej to — rodzaj bojowego hasła.

Różnorodnych faktów życia niepodobna ująć w hasła, któreby zawsze stosować można. Jednakże, stwierdzamy: najfatalniejsze hasło to hasło stanowczego bojkotu.

Cóż szkodzi socyalista obecnością swoją w towarzystwie, dopóki spełnia obowiązki członka? Cóż szkodziłaby p. Gulińska „Czytelni“, wypożyczając z niej książki? Gdyby spodobało się takiemu członkowi — socyaliście prowadzić w towarzystwie propagandę socyalistyczną — chociaż propaganda to względna rzecz, bo potrzeba do niej zawsze dwóch stron — wtedy mogłaby sprawa przybrać inną postać. Gdyby to było w towarzystwie ludzi jako tako samodzielnych i wykształconych, mogliby tę propagandę całą ignorować z uśmiechem pobłażenia.

Gdyby zaś poziom ich umysłowy nie dorósł do tej wysokości, aby twierdzeniom socyalisty przeciwstawić inne, gdyby nie umieli podtrzymać z nim zresztą ze wszech miar interesującej dyskusyi i obawiali się uledz, wtedy niech go wykluczą a sami niech pracują nad sobą, aby w następnym podobnym przypadku sprostać walce ze socyalistyczną zmorą.

I tak kończymy zdaniem: nie bojkot, ale oświecanie powolne ludu uwolni nas od zmory, której boją się tylko słabi.

Tak więc zdanie nasze i w tej sprawie konsekwentnie wypływa z programu rzetelnej demokracyi, której duch ożywia całą Polskę.

Przedewszystkiem nie przyczyniajmy się sami do propagandy socyalistycznej, przypisując jej doniosłość, której u nas niema, przedstawiając ją jako bajecznego potwora, który potrzebuje się tylko pojawić, aby nas pożreć. Pamiętajmy, że mniej niebezpiecznem jest, jeżeli socyalista w gronie towarzystwa zdobędzie dwóch lub trzech cichych zwolenników swych przekonań, niż kiedy głośna reklama na skutek skandalu wyrzucenia zdobywa tysiące.

Vester.

Jeszcze nie dosyć!!

Według najnowszego sprawozdania *kas oszczędności* w państwie *pruskiem* wynosiły wkładki w tych kasach w roku ubiegłym *6243 milionów marek* — czyli słowami: — *sześć tysięcy dwieście czterdzieści trzy miliony.* Wzrosły one w tym roku o blisko 500 milionów — z czego aż 178 milionów przypada na samo dopisanie do wkładek procentu — czyli na „*naturalny*“ przyrost kapitału — bez przyczynienia się do tego właścicieli wkładek.

Na głowę ludności, a więc przeciętnie na każdego mieszkańca — licząc także kobiety i dzieci aż do niemowląt — przypada w Prusach *200 marek oszczędzonego grosza.* Co za kwota! Nieprawda?

Ludność polska w obrębie dzisiejszych granic monarchii pruskiej liczy 3 i pół miliona głów. Gdyby więc i wśród tej ludności przypadało po dwieście marek na głowę — *powinna mieć w kasach oszczędności* — całe *700 milionów marek!!*

Niestety — nie ma tyle, ani nawet nie w przybliżeniu — strasznie daleko jej jeszcze do takiej kwoty. Ponieważ to rzecz arcyważna — warto obliczyć, *ile* nam jeszcze do niej brakuje.

W obliczeniu tem pomijamy *Śląsk* polski — jakkolwiek polscy

Ślązacy pod względem cnoty oszczędności *najwyżej* wśród nas stoją — najlepiej się w niej wydoskonalili. Łatwo też być może, że oni najbardziej już się zbliżyli do tej przeciętnej kwoty w państwie pruskiem. Cóż, kiedy trudno to wykazać. Polskich banków ludowych jest na Śląsku dziś zaledwie kilka, a wszystkie razem mają tylko około 10 milionów marek depozytów. Ogromna większość polskich Ślązaków składa swe oszczędności w powiatowych i miejskich, a więc niemieckich kasach; te zaś prawdopodobnie nie prowadzą spisów wkładkujących wedle narodowości. Jeżli je zaś prowadzą, to nam ich nie wyjawią.

Natomiast w *Księstwie* i w *Prusach Zachodnich* mamy już pewną podstawę do jako tako zbliżonego do prawdy obliczenia, a podstawą tą są tu właśnie *nasze banki ludowe, przemysłowe i zaliczkowe.* Wprawdzie i u nas jeszcze, mianowicie zaś w Prusach Zachodnich dużo Polaków również lokuje swe oszczędności w urzędowych kasach *niemieckich*, zawsze jednakże mamy tu już do ich oszacowania pewną miarę.

W tych naszych „bankach,“ będących zarazem *naszemi* kasami oszczędności — mamy dotychczas depozytów coś około 40 milionów marek. Przypuśćmy tedy, że drugie tyle, a więc również 40 milionów znajduje się w kasach niemieckich, — a cyfra ta będzie pewnie raczej *za wysoką* niż za nizką — otrzymamy w rezultacie jako sumę oszczędności polskiego ludu w tych dwóch dzielnicach — *80 milionów marek.*

Ponieważ zaś ludność polska tych dwóch dzielnic wynosi mniej więcej 2 miliony dusz — więc na każdą duszę polską przypada — 40 — *niestety tylko 40 marek oszczędności!* Innemi słowy: zaledwie *piąta część tego*, co mają *Niemcy!!*

Smutna — arcysmutna to sprawa! Aby ją jeszcze jaskrawiej oświetlić, nadmienimy, że w królestwie *saskiem* przypada oszczędności na duszę czyli głowę ludności aż *500* marek. U nas zaś — zaledwie *40!!*

Słyszymy już, jak ten lub ów powie nam na to: Dziwić się temu nie można. Przecież ludność niemiecka żyje wśród daleko korzystniejszych *warunków zarobkowania, jej nikt nie bojkotuje, ma przytem dostęp do zarobków rozdawanych przez państwo z olbrzymiej sumy podatków i ceł rocznych czyli z dochodów państwowych.* Cóż więc dziwnego, że więcej zarabiając — więcej też oszczędza?“

Prawda to, ale nie we wszystkiem. Jest różnica między warunkami zarobkowania ludności niemieckiej, a ludności polskiej — ale *nie tak ogromna, jak różnica między przeciętną oszczędnością Niemców — a Polaków.* Wysoko już biorąc, można powiedzieć, że Niemcy zarabiają stosunkowo *dwa* do *trzech* razy tyle co Polacy. Tymczasem oszczędzili już *pięć* razy, a nawet więcej — niż Polacy.

Więc na wytłomaczenie tej ogromnej różnicy jedna tylko pozostaje odpowiedź: *Niemcy umieją lepiej oszczędzać niż Polacy!!* I to jest prawdą *niezbitą.*

Przyznajemy, że kto ma mało, mało tylko odkładać może. Dużo atoli uczynić może i pod tym względem — *kto musi.* My zaś *musimy oszczędzać*, jeżli nie chcemy *marnie zginąć, upaść do poziomu ostatniego proletaryatu, stać się pognojem dla niemczyzny.* My *musimy z własnych* oszczędności zbierać i tworzyć kapitały dla naszego *rólnictwa, handlu i przemysłu* — bo nikt nam na ten cel nieda ani grosza.

Zaś bojkotowani na każdym kroku, *sami* wytwarzać sobie musimy coraz nowe środki egzystencyi, coraz nowe źródła zarobkowania, *wyłącznie polskie.* A więc trzeba od ust sobie odejmować, żyć jaknajskromniej, na nic nie trwonić, a oszczędzać, oszczędzać jak najwięcej. Inaczej dzieci nasze — staną się sługami i wyrobnikami Niemców — i ani zamarzyć nie będą mogły o lepszej narodowej przyszłości.

Nie dość na tem; my musimy nietylko oszczędzać, ale także lokować oszczędności nasze we *własnych kasach, we własnych bankach, we własnych Spółkach.* Tylko tam będą dostępne dla naszych rólników, kupców i przemysłowców jako strumień ożywczy. Kto zaś składa grosz zaoszczędzony w niemieckich kasach, niedostępnych dla Polaków, ten masłem smaruje tłusty połeć niemiecki, wyrządza krzywdę *własnemu* społeczeństwu, a przez to *także samemu sobie...*

Nasze banki i kasy dają dziś tę samą pewność, co kasy niemieckie. Gdzie polskich jeszcze niema, trzeba je zakładać, aby oszczędzającym umożliwić składanie oszczędności u swoich i dla swoich. To jeden z najważniejszych warunków bytu naszego.

Pomyślmy tylko, jakżebyśmy silnie dziś stali, jakżebyśmy drwić mogli z komisyi kolonizacyjnej, z bojkotu niemieckiego, gdybyśmy we *własnych* kasach posiadali już 400 — albo 700 milionów marek!! Ileż by to Polaków miało chleb *u swoich* i nie potrzebowało się — jak dzisiaj, wysługiwać obcym!! Jakże byśmy byli spokojni o przyszłość naszą!

A więc musimy oszczędzać *coraz więcej*, a oszczędności nasze składać w *polskich* kasach To jedno z najważniejszych dziś przykazań dla nas!!

Ordon.

Bądźmy mądrzy — przed szkodą.

Cześć i uznanie należy się dzielnym naszym robotnikom na zachodzie Niemiec, w Westfalii i Nadrenii za ich wierność dla narodowości polskiej, za energię i wytrwałość, z jaką bronią się przeciwko wynarodowieniu, za odwagę, z jaką i tam wysoko dzierzą sztandar narodowy i śmiało w oczy rzucają wrogom harde zapewnienie: „Przyszliśmy tu za chlebem, którego z waszej winy w ojczyźnie znaleźć nie mogliśmy, ale ani za ten chleb ani za złoto wasze nie wyrzeknimy się naszych narodowych ideałów!“

Gnębią ich i prześladują, tysiącznemi pragną skruszyć ich szykanami, lecz oni tem się nie trwożą. Walczą o swe prawa w kościele w towarzystwach, na zebraniach, w sądach i w urzędach stanu cywilnego. Gdy zaś nawet współwyznawcy niemieccy wrogie względem nich zajęli stanowisko — postanowili przed dwoma laty tam w sercu niemczyzny własną polską kandydaturę przy wyborach do parlamentu, a chociaż tem rozpętali straszliwą furyę wrogów — nie zważają na to, lecz i przy zbliżających się wyborach pragną głosować wyłącznie *na swoich* i to we wszystkich okręgach, w których w większej mieszkają liczbie.

Pisaliśmy już o tem, gdy zamiar ten wypowiedzieli na swych zebraniach. Troskliwi o ich dobro, nie omieszkaliśmy zwrócić im uwagi na to, co z tej samodzielnej akcyi wyborczej wyniknąć może, nie tając przytem i tego, iż kraj nasz niestety nie może im

dać dziś zarobku, jaki tam znajdują, a który utracić mogą.

Wobec bliskich wyborów sprawa ta stała się aktualną. Po stronie *„centrowej“* odezwały się głosy, przestrzegające wychodźców naszych przed taką samodzielną akcyą wyborczą. Skorzystało z tego jedno z pism poznańskich, ażeby przemawiać również za jej zaniechaniem, za popieraniem rzekomo „życzliwie dla nas usposobionego centrum nadreńskiego.“

Ważność chwili i doniosłość decyzyi w tej sprawie odczuwają wychodźcy nasi sami. Jak bowiem donosi „Dziennik berliński“, przybył niedawno do Berlina ze stron tamtejszych wysłannik z poufną misyą do Koła polskiego.

„Przedstawił on życzenie — pisze organ berliński — aby jeden lub drugi poseł polski zjechał do kolonii polskich i radą posłużył a zdaniem co do zachowania się tamtejszych Polaków przy wyborach *wobec centrum.*

„Myśl wysłannika poufnego doznała przychylnego w zasadzie przyjęcia w Kole polskiem w parlamencie. Koło poszło właściwie jeszcze dalej, niżeli wiązały polecenia przysłanego. Koło postanowiło bowiem rzecz całą *urzędowo* traktować i w tym celu dało do zrozumienia, że mu poufna misya do pojedyńczych posłów nie wystarcza, że raczej Koło samo urzędowo gotowem jest powziąść decyzyą co do swej ewent. akcyi w sprawie westfalsko-nadreńskiej, jeśli życzenie co do tej akcyi będzie Kołu zakomunikowane niejako urzędowo ze strony kompetentnej reprezentacyi tamtejszych rodaków. Z tą odpowiedzią poufną wrócił wysłannik do krainy młotów i kominów.“

Czy reprezentacya rodaków naszych w tych stronach, a jest nią *„Związek Polaków w Niemczech“* — przyjęła taką urzędową interwencyą „Koła“ i czy już poczyniono jakie kroki w tym kierunku, nie wiemy. Na wszelki wypadek uważamy za nasz obowiązek wypowiedzieć w tej ważnej sprawie kilka rad i uwag.

Myśl odwołania się do Koła jest nam bardzo sympatyczną.

Jakkolwiek rozproszeni na ogromnej przestrzeni, w rozmaitych żyjąc warunkach bytu, powinniśmy zawsze kierować się *jedną* myślą, *jedną* uprawiać politykę, *do jednego wspólnego* dążyć celu. Do tego potrzeba ścisłego porozumiewania się we wszystkich sprawach, potrzeba pewnej centralnej instytucyi, którąby stała ponad lokalnemi względami i interesami. Nie mamy nic przeciwko temu, aby instancyą taką stały się dla nas nasze Koła parlamentarne, wpierw atoli otrząść się muszą z ciasnych pęt panujących w nich jeszcze pojęć i poglądów.

I w tym wypadku Koło parlamentarne mogłoby wyświadczyć sprawie naszej wielką przysługę, podejmując się misyi, żądanej przez braci z wychodźtwa. Do tego potrzeba atoli również, ażeby się na sprawy wychodźców zaopatrywało nie ze stanowiska swej polityki i taktyki *parlamentarnej*, lecz ze stanowiska interesu *całej* ludności polskiej.

Kołu może być miła chociażby bardzo bierna i platoniczna „przyjaźń“ stronnictwa centrum — ale z tego nie wynika jeszcze, iżby była pożyteczna także dla *całego społeczeństwa naszego.* I z tego punktu widzenia powinno Koło rozpatrzyć się także w sprawie wyborów na zachodzie.

Przestańmy się raz wreszcie w polityce kierować sentymentami, sercem, względami na *„wspólność wiary,“* a traktujmy wszystko na zimno, z chłodnem obrachowaniem, mając na oku jedynie i widocznie *„realny interes.“* Tak i w tym wypadku rozstrzygać może jedynie zasada *do ut des*, — „dacie nam to i my wam coś damy!“

Postawmy kwestyą jasno. Jeżli stronnictwu centrum te głosy polskich wyborców są koniecznie *potrzebne*, w takim razie starajmy się sprzedać je jaknajdrożej, po możliwie *najwyższej cenie.* A ceną tą może być jedynie *zupełna zmiana frontu katolików niemieckich na zachodzie wobec wychodzców naszych, zagwarantowana o ile możności na piśmie przez miarodajne czynniki centrowe, zmiana frontu, obejmująca równouprawnienie Polaków w kościołach tamtejszych, polskie nabożeństwa, polskie duszpasterstwo, ochrona Polaków przed dążnościami germanizacyjnemi.* Tylko za tę cenę należy sprzedać *głosy polskie.* O sojuszu „sympatyi“ nie może być mowy, tylko o *realnym a uczciwym handlu.*

Jeżeli zaś centrum głosów naszych nie potrzebuje, w takim razie nie ma też powodu gniewać się i mścić za to, gdy polscy wychodźcy na własnych polskich głosować będą kandydatów — a tem samem upada wszelki powód do układów. Nie należy bowiem lekceważyć bardzo dodatniego pod względem narodowym czynnika, jakim jest samodzielna akcya wyborcza Polaków, podnosząca świadomość narodową i poczucie obowiązków względem narodowości u wychodźców. Jeźli się tego czynnika wyrzec mamy, musimy dobrą za to otrzymać *zapłatę*, zapłatę, która pod względem narodowej wartości równać mu się *musi.*

Tylko w razie, jeźli Koło w ten sposób pojmie swą misyą, jeżeli zimno i z obrachowaniem działać zamierza, niech się jej podejmie. W przeciwnym razie niech się nie miesza do tej sprawy.

Pokażmy raz, że umiemy być *realnymi politykami*, że umiemy być mądrymi — *przed szkodą.*

Czujny.

Natura wilka ciągnie do lasu.

„Natura wilka ciągnie do lasu,“ powiada stare przysłowie, a powiada szczerą prawdę. Oswój go, głaskaj, pieść, karmij dobrze, naucz różnych sztuczek — będzie ci służył jak brytan — dopóki trzymać go będziesz w twej zagrodzie, pod okiem twojem i *batem.* Ale wypuść go na wolność, pozwól mu pohulać swobodnie, pokaż mu las w pobliżu — zaraz cię porzuci, skryje się w gąszczach, zapomni o wszczepionej mu „cywilizacyi“, po dawnemu zacznie wyć, gryść, mordować wszystko, co mu wpadnie pod zęby a co słabsze jest od niego — znów stanie się takim samym wilkiem, jakimi byli jego przodkowie.

Taką naturę wilczą posiadają także niektóre narody, wśród nich już w największej może mierze naród niemiecki. Był on srogim i okrutnym, gdy miał siłę, gdy wkoło siebie napotykał tylko słabszych, gdy mógł swobodnie rozpuszczać swe zagony na wszystkie strony. Później, gdy z jednej i z drugiej strony powstały inne silne narody, gdy kultura chrześciańska i na niego nakładać zaczęła pewne pęta, gdy ubezwładniły go wewnętrzne rozterki, stał się potulnym i grzecznym, przyswajał sobie różne sztuczki cywilizacyjno-kulturalne i powoli nawet górował w nich nad innymi. Doszło do tego, że nazwano go nawet narodem filozofów, że ogólnie podziwiano jego „kulturę“. Sam gnębiony, zdobywał się nawet czasami na współczucie dla innych gnębionych. Lecz trwało to tylko tak długo, dopóki sam był bezsilnym, dopóki nie znalazł drogi do *swego* lasu, do wolności i swobody.

Skoro tylko poczuł się znów na siłach — gdy stworzył sobie nowe potężne państwo, zaraz wrócił do dawniejszej swej wilczej natury, zerwał więzy i względy kulturalne i usiłuje znów po dawnemu tępić słabszych których dosięgnąć zdoła.

Jednym z świadczących o tem wymownie objawów zajmował się przed tygodniem sejm pruski. Byliśmy tam świadkami niezwykłego zajścia.

zemawiający właśnie poseł polski p. *Czarliński*, wyjmuje z teki jakiś list — czyta go głośno, potem z wstrętem odrzuca, dobywa chustki i ostentacyjnie ręce nią sobie ociera. Sprawa listu tego jest tak arcyznamienna dla wilczej natury Niemców, że warto jej przyjrzeć się bliżej. Miała się — jak następuje:

Pewien młody Polak z Warszawy podczas swych studyów w Berlinie zakochał się w Niemce, ożenił z nią i zabrał z sobą do Warszawy. Gdy tam po roku urodziło mu się dziecko, ze względu na rodzinę żony ogłosił to w dziale inseratów berlińskiego „Lokal-Anzeigera,“ jak to jest zwyczajem u Niemców. Ogłoszenia tego nie znamy, widocznie atoli była w niem wzmianka także o Królestwie polskiem — może w podpisie — gdyż w odpowiedzi nań otrzymał ów Polak „liścik“ niemiecki z Berlina, który w polskim przekładzie takie ma brzmienie:

„Przeklęty psie polski! Wyczytałem w „Lokalanzeigerze“ twoją wiadomość o urodzeniu dziecka. Nie wiem nad czem się dziwić, czy nad twą glupotą, czy nad twą zarozumiałością. Królestwo Polskie! Człowieku! czyś ty zwaryował! Gdzie leży Królestwo Polskie, czy na księżycu, czy na twej przewrotnej czaszcze? Nazwij mi króla polskiego, będzie to pewno jaki Krapuliński czy Waschlapski, który jak wszyscy Polacy pełen jest brudu i robactwa, a nie umie ani pisać ani czytać. Trzeba tylko widzieć takiego prawdziwego Polaka z steoretypowo głupiem obliczem, żeby na zawsze mieć dosyć tego gałgaństwa. A wtedy jeszcze ci bezgranicznie głupi i zarozumiali półludzie śmią dumnymi być ze swej przeszłości. Życzę wam przeklętym polskim psom rosyjskiego knuta w całej sile i mocy. A takie tałałajstwo jeszcze dzieci wydaje na świat i z wielką gębą ogłasza to w „Berliner Lokalanzeiger“,żebyśmy się tu ile możności cieszyli z takiej polskiej ropuchy. Nie prawda? A ty przeklęty polski psie, nazywasz się szlachcicem. Tobie i wszystkim twym ziomkom polskim daję dobrą radę, żebyście zaniechali waszych idei przewrotnych o Królestwie Polskiem. Bo teraz dobrze Wam patrzymy na palce, a jeśli będziecie sobie za wiele pozwalali, dostaniecie porządnie w skórę. Pfuj, Polaku!“

Ten to list odczytał poseł Czarliński w sejmie, poczem ręce chustką otarł. I słusznie, bo już przez samo dotknięcie się takiego „paskudztwa,“ pobrudzić je sobie można.

Zapewne mniemać będziecie, szanowni czytelnicy, że list ten mógł napisać tylko ostatni z *uliczników* berlińskich, niegodziwiec podupadły fizycznie i moralnie. Tak atoli nie jest! Autor listu podpisał się pod nim z wszelkiemi tytułami swemi, podał nawet swój adres. Jest nim człowiek *wykształcony*, zaliczający się do wyższych sfer towarzyskich, do inteligencyi, niejaki *Krahmer, doktór prawa!!* Ogłada kulturalna widocznie nie wytępiła w nim wilczej natury. Gdy się nadarzyła stósowna chwila zbiegł w lasy — stał się wilkiem *prawdziwym*.

Powiecie może na to: to jednostka — a więc wilczej jej natury nie należy uogólniać na *cały naród*. Posłuchajcie tedy. Gdy poseł polski list ten czytał — większość niemiecka Izby, *reprezentantów narodu niemieckiego*, wybuchła — *wesołym śmiechem*. Innego widocznie uczucia list ten w panach owych nie wzbudził. Podobał im się więc przywtórzyli mu *śmiechem*.

I jakże tu nie uogólniać przebijającej się z niego wilczej natury?

Nie ulega najmniejszej kwestyi, że ów dr. *Krahmer* dziś *cieszy się szczerze*, iż poseł Czarliński ten jego elaborat podał do powszechnej wiadomości. W przeciwnym razie bowiem „pies by o nim nie wiedział.“ Tak zaś stał się *sławnym* w pojęciu „wspólników“, renomuje zapewne tym swoim „czynem“ po wszystkich „knajpach“ i zbiera powinszowania.

A jednak dobrze, że się tak stało. Nazwisko tego pana powinno przejść do dziejów *„kultury niemieckiej,“* jako znamienny objaw jej poziomu XX wieku. Obok Lessinga, Klopstocka, Herdera, Schillera, Goethego i Kanta należy się także kącik jakiś dla *Krahmera* jako ich... *epigona*. Bo do kultury narodu należą nie tylko poeci, filozofowie, artyści, mężowie stanu itd., ale także *„przeciętni“* filistrzy, wyrastający na podłożu społecznego, umysłowego i politycznego życia. Po nich bowiem poznać można najlepiej, o ile kultura „wielkości“ narodowych przyjęła się także u ogółu narodu. Na tym zaś wypadku widzimy jak jest pozorna — jak bardzo dziś znów pod jej płaszczykiem wilcza natura Niemców ciągnie *do lasu — do ich pierwotnych obyczajów*.

Narodowiec.

W kaplicy Sykstyńskiej.

Rzym, 20-go lutego.

Rzadki to przypadek, aby Ojciec św. obchodził ze szczególną łaską Opatrzności jednoszeńie 25 rocznicę śmierci swego świetnego Poprzednika i swego własnego wstąpienia na tron. Nic dziwnego, że wcześnie musiałem wystarać się o bilet do kaplicy Sykstyńskiej, gdzie miała się odbyć rzadka uroczystość. Dzięki staraniom życzliwych rodaków, którzy przygodnemu pielgrzymowi do stóp wielkiego Namiestnika Chrystusowego w tej sprawie udzielili pomocy, uzyskałem wstęp i o pół do dziewiątej stałem u wrót najcudowniejszej z kaplic świata.

Sądziłem, żem się zbyt pospieszył, lecz obszar kaplicy był już w trzech czwartych wypełniony. Stałem przy wejściu, między dwiema trybunami, przeznaczonemi dla pań. Przed nami jaśniał cały system planetarny najwspanialszych malowideł, jakie kiedykolwiek stworzyła ręka ludzka; nad nami rozprzestrzeniał się jak niebo gwiaździste wspaniały strop, który unieśmiertelnia po wiek wieków imię Michała Anioła i jego mecenasów — papieży. Stojąca publiczność docierała do czterech rzędów czerwonych aksamitnych krzeseł, na których zasiedli: po lewej stronie ciało dyplomatyczne, akredytowane przy Watykanie, po prawej panie z kół wyższych i najwyższych. Dla przewielebnych dygnitarzy duchownych biorących udział w nabożeństwie zarezerwowano osobne miejsce, rodzaj chóru, od którego dzieliły nas marmurowe balaski.

Po chwili zaczęli wchodzić tam dostojnicy kościelni; twarze i postacie jak ze starych portretów, jak z galeryi dawnych mistrzów. Równocześnie zapełniła się kaplica dworem papiezkim; ujrzeliśmy nowe czerwone uniformy „guardia del corpo,“ (gwardya przyboczna), żandarmów papiezkich „guardia nobile palatina,“ kirasyerów itd. Barwny tłum porywał oczy, szeptał, chylił się przed Sanctissimum, witał skinieniem głowy i zwracał nieustannie oczy ku drzwiom, przez które miał ukazać się Ojciec św.

Wreszcie o pół do dwunastej, głęboki, pełen oczekiwania szmer zwiastuje chwilę, w której ujrzymy władcę stolicy Piotrowej. Wsparty na ramionach dwóch prałatów domowych, głęboko pochylony, w powłóczystej szacie ze złotego brokatu ze złotymi haftami wchodzi Ojciec św.

„Lumen e coelo,“ przyklęka przed ołtarzem i zasiada na tronie św. Piotra. W kaplicy cisza, jak makiem siał. Przerywa je dopiero nabożeństwo. Ojciec św. najmniej dwanaście razy powstaje z tronu, podchodzi do ołtarza, klęka, wstaje, a ruchy tak elastyczne, tak młode, że wierzyć się nie chce w ciężar lat, który tłoczy dostojne barki Namiestnika Chrystusowego. Biały jak śnieg, o wyglądzie uduchowionym tak, jak trudno opisać, trzyma się prosto, silną dłonią dzierży kadzielnicę, zdradzając każdym ruchem nadprzyrodzoną nawet świeżość ciała i umysłu. Trudno uwierzyć, aby z niemal stuletniej krtani wychodził tak świeży i donośny głos, jaki słyszymy właśnie, gdy Ojciec św. koło katafalku przybranego w barwy czarne i żółte intonuje przejmujący śpiew:

Requiem aeternam...

Zdało mi się, że głos z Nieba płynie na padół płaczu...

A chóry pod kierownictwem przewielebnego Ojca Perosiego wstrząsają gmachem; najsłynniejszy zespół śpiewacki świata wykonywa najwspanialsze utwory muzyki kościelnej, jakie kiedykolwiek napisano. Przed oczyma cudowne malowidła, w uszach nadziemskie tony, w sercu dziwne wzruszenie, jakby radość, trwoga wobec majestatu, przeczucie nieskończoności....

Opuszczałem kościół w towarzystwie kilku duchownych francuzkich. Rozmawialiśmy o prześladowaniu Kościoła we Francyi przez radykałów i socyalistów, o wypędzeniu zakonów, o gwałtowności, z jaką rząd francuzki zmierza do zerwania konkordatu.

Wzmocniony na duchu, z sercem wzniesionem do Pana nad Pany, powracałem przez słoneczne przestwory Wiecznego miasta.

X. P.

Z TYGODNIA.

Marzenia *Niemców* o panowaniu nad światem, a chociażby tylko o *„admiralstwie nad Atlantykiem“* doznały silnego wstrząśnienia w sprawie *wenezuelskiej.* Zakończenie tej sprawy równa się niemal dotkliwej *porażce* rządu niemieckiego, uzyskał on wprawdzie od Wenezueli nieco więcej, niż inne mocarstwa, ale też żądania Niemców były najdawniejsze i najwyższe. Przedewszystkiem zaś to, co uzyskali, nie stoi w odpowiednim stosunku do rozmachu, z jakim wystąpili w tej sprawie. Przypatrzmy się ot tylko zawartemu w Waszyngtonie układowi. Pretensye poddanych niemieckich wynosiły razem przeszło 13 milionów marek. Tymczasem otrzymali oni gotówką tylko 110,000 marek, na milion i 700 tysięcy dano im weksle, płatne do 1-go lipca rb., olbrzymią zaś „resztę“, bo jeszcze blisko 12 milionów pozostawiono w zawieszeniu. Słuszność pretensyi, obejmujących tę olbrzymią „resztę“ zbadać ma dopiero osobna komisya, ostatecznie zaś zawyrokować ma o nich międzynarodowy sąd rozjemczy w Hadze. Jeźli zaś dodamy jeszcze, że i wykupienie owych weksli na 1,700,000 mk. jest także jeszcze zależnem od dobrej woli rządu wenezuelskiego, to gwałtem nasuwa się pytanie, czy dla takiego rezultatu warto było podejmować zbrojną wyprawę i blokadę, której koszta również na miliony liczyć się będą, zatapiać okręta wenezuelskie, bombardować porty nadbrzeżne?

A i ten rezultat zawdzięczają Niemcy nie tyle własnej „powadze,“ ile poparciu *Ameryki.* A jednak przyjęli go skwapliwie, zaraz odwołali swe okręty, znieśli blokadę. Czem się to tłomaczy? A no, gdyby tylko mieli był do czynienia z małą i słabą *Wenezuelą,* zapewne buta Niemców nie byłaby znała granic, ale za tą Wenezuelą stanęła nagle potężna północnoamerykańska Unia, — *Stany Zjednoczone.* Na wieść o bombardowaniu portów wenezuelskich przez Niemcy, opinia tamtejsza tak wrogą względem Niemiec przybrała postawę, że jeden jeszcze wojowniczy krok ze strony Niemiec byłby niezawodnie wywołał groźny zatarg z tem państwem. Niemcy zaś boją się nietylko Boga i cara, *ale także Ameryki północnej!* Zaraz tedy Niemcy spuścili z tonu, przyjęli pośrednictwo posła amerykańskiego *Bowena,* i zadowolili się tym bardzo skromnym rezultatem. Dla przejednania Ameryki północnej ustąpić musiał były poseł niemiecki Holleben, następca zaś jego znosił cierpliwie nawet bardzo szorstkie traktowanie pretensyi niemieckich ze strony Bowena. Prasa niemiecka zgrzyta zębami z powodu tego, nie tai bynajmniej, że Niemców przykre spotkało upokorzenie, ale z pokorą poddaje się smutnej konieczności. Świat zaś przekonał się ponownie, że Niemcy nie zawsze i nie wszędzie postępują tak butnie — jak wobec... *Polaków.*

Być może, że ta porażka spowodowała by była w Niemczech większe jeszcze przygnębienie, gdyby opinia publiczna nie była już zajęta tak bardzo *przyszłemi wyborami.* Wszystkie już bowiem stronnictwa rozpoczęły żywą agitacyą wyborczą. Ku zwalczaniu wszelkiego rodzaju „wrogów państwa,“ a więc wolnomyślnych, alzatczyków, welfów, socyalistów i Polaków ma być w tym roku znów wskrzeszony smutnej pamięci *kartel* stronnictw konserwatywnych i nacyonal liberałów, z tą odmianą, że do kartelu tego ma się przyłączyć teraz — słuchajcie! — także *katolickie Centrum.* Na wieść o tem nieboszczyk Windhorst zapewne się w grobie przewrócił, a dusza jego w niebie Bogu dziękuje, że już nie ma nic wspólnego z dawniejszymi towarzyszami broni. Grzęzną oni coraz dalej w bagno „prawowierności rządowej“ i na seryo zamierzają przyłożyć rękę do nowego ograniczenia wolności głosu w parlamencie. Nim bowiem jeszcze obecny parlament zakończy swój żywot, ma przy pomocy *Centrum* nastąpić zmiana regulaminu w tym kierunku, że mówcom w pewnych razach wolno będzie przemawiać tylko przez pewną ilość *minut!!*

Że Centrum na tej „prawowierności“ swojej jeszcze źle wyjdzie, to nie ulega wątpliwości. Przeczuwają to wszyscy, tylko nie prowodyrzy centrowi, którzy łaszczą się na teki ministeryalne. I już z tej przyczyny powinny *Koła nasze poselskie* dobrze zastanowić się, czy warto wysługiwać się dalej takiemu stronnictwu?

Cesarz *Wilhelm,* nie zrażony bynajmniej „debatami cesarskiemi“ w parlamencie, wystąpił w tych dniach z pismem publicznem, które również w całym świecie żywą wywołało dyskusyą. Tym razem zabrał głos w kwestyi *teologicznej.* Z powodu wykładów profesora *Delitscha,* który miewa w Berlinie odczyty na temat wpływu kultury babilońskiej na biblią i zaprzecza w nich objawiania się ducha Bożego, wystósował cesarz list do admirała Hollebena, a w liście tym oświadcza się, że wierzy w objawienie. Zdaniem monarchy Bóg objawiał się nietylko w prorokach, lecz także w greckim pisarzu poganinie Homerze, w Karolu Wielkim, Szekspirze, Goethem, filozowie Kanciono i w cesarzu Wilhelmie I.!! Poglądy cesarza są tak sprzeczne z nauką Kościoła katolickiego, a nawet z poglądami prawowiernych protestantów, że dziwić się nie można, iż zarówno

prasa niemiecko-katolicka jak i protestancko-kościelna przyjęła je z wielkiem niezadowoleniem.

Sprawa *macedońska* wciąż jeszcze ciąży zmorą nad Europą. W ubiegłym tygodniu nie zaszło w niej nic ważniejszego. Rosya i Austrya upewniwszy się poparcia innych mocarstw przedłożyły już *sułtanowi* program reform, jakie ma przeprowadzić w Macedonii. Sułtan przyjął program ten z pokorą, zapewniał, że ma jaknajlepsze chęci, ale swoją drogą *zbroi się dalej.*

Wieści z Turcyi donoszą zaś, że panuje tam powszechne mniemanie, iż zbliża się chwila, która zadecyduje o istnieniu państwa tureckiego w Europie. Turcy gotują się więc do ostatniej krwawej o byt swój rozprawy. I dziwnem jest, że chociaż nie ma *nowych* powodów do zaniepokojenia, pogłoski o blizkiej jakoby już, a strasznej zawierusze wojennej nie chcą umilknąć. W atmosferze politycznej zapanowała dziwna jakaś duszność, taka sama, jaka zwykle poprzedzała wypadki, które wstrząsnęły do głębi starą Europę.

Że sprawa macedońska „daje powód do poważnych obaw", to usłyszeliśmy także w mowie od tronu, jaką król *Edward* zagaił przed tygodniem nową sesyą parlamentu *angielskiego.*

Rząd *austryacki* uzyskał od parlamentu tamtejszego pozwolenie na pomnożenie armii o 22000 rekrutów rocznie. Zawdzięcza to już znów lojalnej postawie *Koła polskiego.* Natomiast na *Węgrzech* znaczna część parlamentu i ludności nie chce ani słuchać o nowych ciężarach wojskowych. W parlamencie tamtejszym opozycya prowadzi przeciwko ustawie wojskowej zaciętą obstrukcyą, która rządowi dużo jeszcze sprawi kłopotu. Nie pomogły więc korzyści, jakie Austrya z własną szkodą przyznała Węgrom przy konwencyi swego długu państwowego i w innych sprawach. Węgrzy myślą tylko o sobie, na nic innego nie zważają — a w gruncie serca marzą tylko o zupełnem oderwaniu się od Austryi.

We *Francyi* toczy się w dalszym ciągu walka kulturna. Eks-ksiądz *Combes,* pragnąc widocznie przejednać znów wrogów kościoła, wszczął nowy zatarg z stolicą apostolską i to o *jedno słówko* w bulli o konkordacie. Stoi w niej wyraźnie, że rząd francuzki ma prawo nominować *nam,* to *jest Papieżowi* — kandydatów na biskupów, to jest przedstawiać ich do zatwierdzenia papieskiego. Pan Combes żąda tymczasem, ażeby to słówko „*nam*" skreślono, przez to bowiem bulla konkordatu brzmiałaby tak: rząd francuzki *mianuje biskupów* — a więc na *własną* rękę bez zezwolenia Stolicy apostolskiej. „Pan" Combes wie dobrze, że na to żądanie przystać nie może, że zresztą żaden kapłan katolicki nie przyjmie nominacyi na biskupa wyłącznie od rządu, ale mimo to toczy o to spór zacięty, aby jaknajbardziej dokuczyć kościołowi. Wobec tego podziwiać zaprawdę trzeba *pobłażliwość* Watykanu...

Wracając do spraw bliżej nas obchodzących, zawadzić znów musimy o *sejm pruski,* bo i ubiegły tydzień nie minął bez nowej *„debaty polskiej."* Polscy posłowie wprawdzie nie zabrali głosu w tym tygodniu, za to krzywdy polskiego ludu wytoczyło dwóch posłów centrowych z Górnego Ślązka, widocznie ze względu na... blizkie już wybory! Jeden z nich interpelował ministra sprawiedliwości w sprawie *tłomaczów,* drugi ministra handlu w sprawie wydalenia z pracy na rządowej kopalni czy hucie pod *Gliwicami* kilkunastu robotników Polaków za to tylko, że przy wyborach do dozoru kościeln go agitowali za kandydatami polskimi. Z odpowiedzi ministeryalnych dowiedzieliśmy się, że rząd pragnie nas uszczęśliwić tłomaczami z pośród zniemczonych „*Mazurów*" z pod Ełku, i że w tym celu udzielana będzie w gimnazyum w *Ełku nauka języka polskiego* — w drugiej zaś sprawie, *że rząd bez miłosierdzia wydalać będzie ze swoich kopalni i fabryk robotników, którzy ośmielą się także przy wyborach dać wyraz swym uczuciom polskim.* Jedno i drugie jest ciężką krzywdą dla ludności polskiej — pierwsze bowiem pozbawi resztę polskich tłomaczy urzędu; drugie sprzeciwia się narodowym, przygrodzonym i politycznym prawom ludu polskiego, aleć ani jedno ani drugie nas nie zgnębi. Bóg liczy te krzywdy nasze, on też nie pozwoli, ażeby podcięły nam narodowy nasz żywot, a gdy przyjdzie czas powie wyraźnie krzywdzicielom naszym: *„Dotąd a nie dalej!"* Wówczas spokornieją napewno....

M. O.

Przegląd prasy.

Nowym nadburmistrzem miasta Poznania został obranym w zeszły wtorek *dr. Wilms* z Dysseldorfu, *katolik,* upatrzony przez przewodzców tutejszych radnych wolnomyślnych podczas wystawy w Dysseldorfie, który głównie urządzał. Przy wyborach otrzymał 28 głosów wolnomyślnych i 14 polskich i tak pokonał p. *Küntzera* wiceburmistrza poznańskiego, na którego padło 18 głosów. W sprawie tej czytamy w *„Dzien. Pozn."*:

„Rozstrzygali Polacy, mimo, że z rejencyi wyszło hasło: *Niech będzie nadburmistrzem ktobądź, byle Polacy nie rozstrzygali!* Jeszcze w przeddzień wyborów apelował „Posener Tageblatt" do „poczucia niemieckiego" żydowskich współobywateli, nazywając ich izraelitami a nie jak zwykle żydami. Na nic się to nie zdało!"

I dalej pisze „Dziennik Pozn.":

„Nie wiemy, *czy wybrany nadburmistrz uzyska potwierdzenie rządu,* dlatego nie będziemy się dziś szerzej rozpisywali o wyborze i zadaniach przyszłego nadburmistrza..

„Możliwem jest, że i teraz rząd wyboru nie zatwierdzi, bo wybrany jest katolikiem i ma żonę katoliczkę. Mówią już, że na wypadek niepotwierdzenia, polsko-niemieckim kandydatem będzie niejaki p. Matting, drugi burmistrz miasta Charlottenburga.

„Nie wiemy, jakie stanowisko polityczne wybrany nadburmistrz zająć zechce. Sam on pewnie tego jeszcze nie wie, bo i on prócz własnemu sumieniu ulegać będzie musiał trzem współzawodniczącym rządom, tak samo jak jego poprzednik, który wybrany został jako wolnomyślny, a skończył jako konserwatysta i bezwzględny obrońca „uciśnionej ojczyzny niemieckiej."

Smutny stan finansów miejskich zastanawia Niemców i tak „Staatsbürger Ztg." pisze:

„Czego Poznaniowi najbardziej potrzeba, to *oszczędnej gospodarki finansowej.* Obywatelstwo jest podatkami wyssane do ostatniej kropli, a wszystko utyskuje już nad komunalnym dodatkiem 164 proc. W Dyseldorfie gospodarują oszczędnie. Pan Wilms rozpozna położenie rzeczy w mieście, które potrzebuje przemysłu i sztuki, jakie posiada Dyseldorf."

Naczelny prezes jeszcze nie mianowany. Jako poważnego kandydata na to stanowisko wymieniają teraz obok prezesa rejencyi wrocławskiej v. Heydebranda także przewódzcę konserwatywnego stronnictwa bar. Manteuffla. *„Dzien. Berl."* zaznaczając to, robi taką uwagę:

„Wartoby zajrzeć w obecnej chwili za kulisy rządowe. Co tam się muszą dziać za intrygi, jaka odbywać się musi licytacya „patryotycznych" uczuć i antypolskich chęci! Ktokolwiek jednak zostanie następcą p. Bittera, *wyszczerbi on sobie także zęby o polski granit.*"

W *„Górnoślązaku"* p. Celestyn Rydlewski pisząc pod tyt. „Matactwa Orędownikowe" odpiera zarzut, że

„demokratyczno-narodowa część Polonii berlińskiej jest „awangardą socyalnej

demokracyi", że składa się z „socyalistów, pracujących także pod hasłami demokratyczno-narodowemi itd., itd.

Pomimo, że p. Ryd. poinformował „Oręd.“ o tem, że tak nie jest, „Oręd.“ jednak utrzymywał, iż wiec berliński został rozbitym „przez socyalno-demokratycznych klakierów“ itd. Na to p. Ryd. odpowiada między innemi:

„Nawet strona przeciwna, tj. zwolennicy „Dziennika Berlińskiego“, nie identyfikowali tutaj narodowej demokracyi z socyalistami.“

Pod tyt. „Niemiecka zuchwałość“ „Dzien. Berl.“ podaje list niejakiego Hofmana Niemca żyjącego w Rosyi, który do rosyjskiego pisma „Nowoje Wremia“ nadesłał szereg bezczelnych uwag. Prawi o „wyższości“ Niemców i takie rzuca w twarz Rosyanom twierdzenie:

„Dobra rada z decydujących sfer berlińskich zawsze była przyjmowana i wykonywana w Rosyi, i w tem wielkość i siła cesarstwa (!!)“

Śliczny kwiatek krzyżacko-pruskiego sposobu myślenia znajdujemy w następującej „radzie Hofmana:

„Jedyna dobra rada, jaką wam my, Niemcy, dać możemy, to ta, *abebyście wszystkich Polaków ze swych granic wysłali na Syberyę, tam nie będą mogli popierać jeden drugiego*, a kraje, przez nich opuszczone, rozkolonizujcie pomiędzy Rosyan i jako nauczycieli — *sprowadźcie do nich Niemców*.“

O *„demokracyi w Poznańskiem i Galicyi“* rozpisał się w „Kur .Warsz.“ znany publicysta p. *Bol. Lutomski.* Z artykułu tego wyjmujemy następujący ustęp:

„W Poznańskiem, pomimo wystąpienia ludu na widownię, proces przemiany demokratycznej wikła się jeszcze i bolesnemi jeży trudnościami. Naród w chwili upadku politycznego, nie zdążył zrzucić z siebie zupełnie pokrywy średniowiecznej, archaizmy, jak gwoździe, tkwiły w jego ustroju, później przyszły złośliwe tendencye najdłuższego zachowywania archaizmów, budowanie na nich systemu. Przyrodzona ewolucya Wielkopolski zatrzymała się także i do dziś nie wstąpiła na drogę rozwoju prawidłowego. Społeczeństwo szlacheckie, katolickie i konserwatywne, żywe w uczuciach, lecz bierne w wyobrażeniach i obyczajach — i ztąd mianowicie pochodzi jego zachowawczość — bez tego potężnego współczynnika, jakim w Europie środkowej i zachodniej stał się stan trzeci, któremu historya oddała w ręce na dłuższy okres hegemonię, przemysł i giełdę, banki i parlamenty, politykę i idee, przekształcające grupę i jednostkę od podstaw do szczytu, to społeczeństwo znalazło się wobec germanizmu, mierzącego wprost w jego istnienie.“

B. M.

Głosy od przyjaciół.

Berlin, d. 16. 2. 03.

Już oddawna odczuwały towarzystwa na obczyźnie, a mianowicie stowarzyszenia reprezentujące klasę robotniczą brak lepszej organizacyi, któraby członkom ich dawała obok duchowych także pewne materyalne korzyści. I tak *w Nr. 4-ym „Pracy“* odzywa się poważny głos pewnego prezesa, aby towarzystwa pomyślały nad tem, czy niedało-by się złączonemi siłami towarzystw na obczyźnie, założyć kasę „pośmiertną.“ Spowodowało mnie to do oznajmienia, iż podobny związek z taką kasą już istnieje.

Związek ten powstał za inicyatywą Towarzystwa katolickiego robotników polskich w Berlinie, które ofiarowało związkowi na fundusz żelazny 300 marek.

Wprawdzie związek został założony tylko na prowincyą Brandenburską, ale ponieważ zgłaszają się do niego towarzystwa po za prowincyą, zarząd związku powziął myśl *rozszerzenia związku* na wszystkie prowincye, prócz W. Księstwa. Na najbliższem posiedzeniu delegatów sprawa ta będzie załatwioną.

Ustawy „Związku“ na życzenie wysyłamy interesowanym. Tu przytaczam tylko kilka paragrafów:

§ 1: Nazwa Związku brzmi: „Związek Towarzystw polsko katolickich Robotników na prowincyą Brandenburską z siedzibą w Berlinie.“

§ 2. Celem Związku jest:

1) Wspieranie członków poszczególnych Towarzystw materyalnie.

2) Dążenie do jak najlepszego polepszenia bytu.

§ 3: Środki do celu prowadzące są:

1) Utworzenie kasy pogrzebowej.

2) Kwartalne zebranie delegatów.

3) Roczne sejmiki, odbywające się co rok w innej okolicy.

§ 4: Do Związku mają przystęp:

1) Wszystkie Towarzystwa polsko katolickich robotników.

2) Również Towarzystwa o innych nazwach o ile przydadzą sobię miano robotników.

§ 5: Ustęp 5-ty.

Przystępujące do związku towarzystwo opłaca od każdego członka swego 50 fen. wstępnego i 10 fen. składki miesięcznej.

Zaznaczam tu, że „Związek“ za tę małą opłatę w razie śmierci członka wypłaca wdowie jego 60 mrk., a w razie śmierci żony członka wypłaca temuż członkowi 30 mrk. na koszta pogrzebu.

A zatem odzywamy się do szanownych Zarządów interesowanych Towarzystw, aby się nad tą sprawą namyśliły. Dlaczego wszędzie w Niemczech każde niemiecko katolickie towarzystwo ma lepiej prosperować od polskiego? Dzieje się to dlatego, że Niemcy, ledwo założą towarzystwo zaraz też wstępują do Związku i przez to zapewniają swym członkom korzyść materyalną, niemniej i dlatego, że *tyle a tyle tysięcy naszych braci lgnie do ich towarzystw, ginąc dla sprawy naszej.*

A zatem bracia początek zrobiony! Teraz dla względów materyalnych nikt z Polaków nie powinien wstępować do niemieckiego towarzystwa. Zależy tylko od was bracia czy sprawę zrozumiecie i cegiełkę po cegiełce dokładać będziecie, aż stanie gmach wielki, który *zasłoni tysiące braci naszych od germanizacyi.*

Wszelkich bliższych informacyi udziela niżej podpisany przewodniczący, który przyjmuje osobiste lub piśmienne zgłoszenia.

Upraszamy wszystkie polskie pisma o łaskawe powtórzenie tego obwieszczenia.

Teodor Błoch,

Prezes Tow. polsko-katolickich robotników na Brandenburgią. Berlin, Zorndorferstr. 26.



Dodatek do nr. 9-go „Pracy.“

Floryan

zmiłowania Bożego i św. Stolicy Apostolskiej łaski

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański

tejże Stolicy Apostolskiej Legat urodzony itd. itd.

Duchowieństwu i Wiernym

obu Archidyecezyi *)

pozdrowienie i błogosławieństwo arcypasterskie w Panu.

Najmilsi Moi!

Kiedym w roku 1893 na czele naszej pielgrzymki składał w Rzymie u stóp tronu papiezkiego hołd szacunku, przywiązania i posłuszeństwa dla Stolicy Apostolskiej, oraz podziwu dla dzieł przez Ojca św. dokonanych, Leon XIII. odpowiadając rozpoczął od tych słów Pisma św.: *„Co się temu dziwujecie? albo dla czego się nam przypatrujecie, jakobyśmy to naszą mocą albo władzą uczynili?“* (Dzieje Ap. 3, 12.) We wielkiej Swej pokorze Ojciec św. nie Sobie przypisuje to wszystko, co dla podniesienia religii, dla wywyższenia Kościoła i dla dobra całej ludzkości uczynił, ale łasce i szczególniejszej pomocy Ducha św. W tem Jego zasługa, że tak z łaski tej korzystał i stał się mężem opatrznościowym w dziejach świata i Kościoła, wśród świetnego zastępu wielkich papieży, którym nawet inowiercy przyznawają, że uratowali światu podstawy prawa i sprawiedliwości wraz z prawdziwą oświatą.

Powodem wielkiej naszej radości jest właśnie, że dane nam jest patrzeć na to, jak w bieżącym roku jeden z tych wielkich papieży odbiera w osobie Leona XIII. hołd uznania i wdzięczności od całego świata katolickiego. Gdy mnie niestety siły nie pozwalają, abym mógł przewodniczyć pielgrzymce z naszych Archidyecezyi do Rzymu i osobiście wyrazić Ojcu św. nasze uczucia, pragnę choć z daleka przyłączyć się do hymnu chwały, jaki ze wszystkich stron świata wznosi się ku czci świętego Starca, co w tych dniach obchodzi 25 letni jubileusz rządów papieskich. A idąc w ślad myśli Ojca św. na wstępie wyrażonej, nie osobiste Jego podniosę zasługi, ale znaczenie papiestwa w ogólności, *mianowicie wykażę, jak Kościół katolicki, będąc przez papiestwo najwyższą powagą duchową, stał się najsilniejszą podporą wszelkiej innej powagi na ziemi.*

Cóż mnie powoduje, ukochani Dyecezyanie, abym mówił właśnie o tem znaczeniu Kościoła i papiestwa?

Oto ogólna skarga na systematyczne i coraz dalej sięgające podkopywanie podstaw wszelkiej powagi na ziemi, od najwyższej władzy aż do najbliższej, rodzicielskiej.

A przecież poszanowanie dla powagi, to właśnie podstawa i warunek szczęścia i pomyślności każdej społeczności, większej czy mniejszej, państwa czy rodziny.

I to też przejmuje obawą i zgrozą wszystkich poważnie myślących ludzi, dokąd może doprowadzić ludzkość, jeżeli zawczasu nie rozpocznie się sypać szańców przeciwko zalewowi złego. Hołd dla papieża, jako najwyższej powagi duchowej, daje sposobność przypomnienia obowiązku szacunku należnego dla powag najbliższych w naszym zakresie życia.

Historya powszechna ta mistrzyni ludów, uczy, że w dziejach narodów te doby do najszczęśliwszych się zaliczają, w których najpierw władza, oparta na sprawiedliwości i stąd na ogólnem poszanowaniu, tem właśnie silna, pewną ręką dzierżyła ster rządów. W tej dobie żądano od obywateli życia prawego i cnotliwego, czystości obyczajów tak dalece, że nad życiem ich w Rzymie czuwali dwaj najwyżsi urzędnicy państwa, jako *„cenzorowie obyczajów.“* Wiedziano bowiem, że człowiek, w życiu prywatnem lekceważący zasadę moralności i cnoty, także w służbie publicznej sprzeniewierzyć się i sprawę publiczną zdradzać może.

Potopem klęsk i łez i upadkiem narodów znaczą się czasy rządów nie szanowanych i dlatego słabych. Społeczeństwo, nie szanujące władzy i powagi albo samo się rozpada, albo zetknąwszy się z narodem o silnych rządach, temuż ulega.

Tak samo i w życiu rodzinnem. *I szczęście i dobre powodzenie rodziny polega na poszanowaniu dla władzy rodzicielskiej, co ma zapewnione błogosławieństwo Boże.* Bez tego poszanowania nie ma zgody i jedności w rodzinie. Bez tego poszanowania nie ma skupienia sił wspólnych, i co za tem idzie, wzrostu w dobrobycie.

Szacunkiem przeto dla powagi i płynącą ztąd karnością stoją narody i rodziny, stoi ludzkość cała. Jako Pan Wszechmocny na niewzruszonych prawach Swej świętej woli oparł porządek i harmonią cudowną wszechświata, jak w niebie samem wśród chórów nawet anielskich nie równość, lecz stopnie pewne i podporządkowanie niższych pod wyższymi panuje, tak i na ziemi wśród ludzi z woli Pana Boga istnieją i istnieć będą zawsze różnice, są i będą niżsi i wyżsi, podwładni i przełożeni, jest i będzie prawo rozkazywania i obowiązek słuchania, jest i będzie na ziemi władza i zwierzchność, a z nią i przez nią ład i porządek. Tylko o piekle napisano w piśmie św., *iż tam żadnego nie masz porządku, lecz wieczny bezład i strach* (Job 10, 22). Ale ludzie niestety, biorąc mylnie samowolę za wolność, nie umieli i nie umieją mimo twardych doświadczeń uznać tej woli Bożej, która nie przestaje być łaską, choć nieraz chłostą być musi.

W dziejach ludzkości spostrzegamy stopniowo wzmagający się prąd, dążący do podkopania wszelkiej powagi na ziemi, prąd, który po wielkich wstrząśnieniach, jakich od XVI wieku doznała najprzód władza kościelna, a potem świecka, doszedł dziś w tak zwanej anarchii i płynących z niej królobójczych zamachach do krańcowych ostateczności. Może to otworzy oczy światu, do czego w końcu prowadzi zanik poszanowania powagi najwyższej.

*) Chociaż wszystkie gazety podały niniejszy list pasterski, odczytany w kościołach, powtarzamy go ze względu na Czytelników naszych po za granicami Wielkiego Księztwa Poznańskiego. — Przyp. R.

Gdzie szukać na to lekarstwa? Gdzie ratunku? Dobry lekarz do źródła sięga choroby. Kto ludzkość od chorób chce leczyć społecznych, winien także do samego źródła złego dotrzeć.

Z braku poszanowania objawionej *powagi Bożej* odbywało się w koniecznem następstwie stopniowe podkopywanie wszelkiej innej powagi. Dążyć zatem w pierwszej linii potrzeba do uznania w całej pełni objawionej powagi Bożej, jeźli się chce zatrzymać toczącą się do przepaści ludzką społeczność.

Temu duchowi anarchii zatem należy według zdania Ojca św. Leona XIII w Encyklice *Immortale Dei* jako lekarstwo i ratunek przeciwstawiać to, co jest na ziemi najsilniejszym wyrazem uznania najwyższej bo bozkiej powagi: *Kościół katolicki*, który naukami swojemi wszystkim ludziom w każdym pojedyńczym ich stanie, we wszystkich stosunkach określa i uczy poszanowania obowiązków względem uprawnionej powagi i władzy.

Że Kościół katolicki jest wielką potęgą duchową, przyznają to wszyscy, a nie najmniej jego wrogowie. Jest potęgą duchową, bo powagę swą nie na sile opiera materyalnej, lecz na sumieniach ludzkich, na oddaniu rozumu i woli Istocie najwyższej, Bożej. Że zaś z ustanowienia Bożego pełność władzy kościelnej spoczywa w ręku jednego, to jest Papieża, dlatego też Papieże Rzymscy, jako dzierżyciele tej od Boga sobie nadanej, a na sumieniach ludzkich opartej władzy, *są bezprzecznie najwyższą powagą duchową w świecie.* W naszych czasach uderza to więcej w oczy, aniżeli kiedykolwiek dawniej. Im więcej podkopują powagę innych władz i zwierzchności, — czego dowodem najlepszym, że coraz więcej szukać one muszą oparcia na sile zewnętrznej, — tem wyżej rośnie powaga i potęga moralna papieża. Bo Słowo Jego to nie wywody jakiegoś uczonego, choćby największego, to nie zdanie jakiegoś profesora, choćby najznakomitszego, to jest nauka, której poddać się winien każdy bez rozstrząsania, bo to nauka *na najwyższej władzy oparta. „Albowiem je uczy jako władzę mający“* (Mat. 7, 29). Ta władza bowiem, to znów nie ludzka żadna władza, nie od ludzi mu dana, ale boska, a boska nie tylko mocą prawa przyrodzonego, ale mocą osobnego ustanowienia Bożego, gdy Chrystus Piotrowi św. oddawał klucze nawet królestwa niebieskiego.

Ponieważ nie od ludzi dana jest papieżom pełność władzy duchowej, więc też nikt z ludzi władzy tej ani odjąć, ani ukrócić, ani zmienić nie może. Tak jak ją Piotr św. odebrał z rąk Jezusa Chrystusa, tak ją w te same ręce kiedyś odda przy końcu dziejów ludzkich ostatni papież na ziemi: Nie wyście mnie obrali, może z Pismem św. do nas powtórzyć papież, nie od was zależnie posiadam i dzierżę mą władzę.

I dlatego właśnie władza papieska jest prawdziwą, jest rzeczywistą, jest w całem znaczeniu tego słowa *władzą!* I stąd też ta jej ogromna powaga. Ztąd jej siła dla poparcia, ratowania, utrzymania wszelkiej innej powagi i władzy. O jakże ona czcigodna samą *swoją trwałością niespożytą!* Tem dwutysiącletniem trwaniem nawet u tych wywołuje podziw i poszanowanie, którzy, nie należąc do Kościoła katolickiego, nie chcą jej boskiego przyznać początku.

Jak co do czasu władza papieży jest niespożyta, tak co do swych zasad jest stała, niezmienna, podobna do skały niewzruszonej, na której jest zbudowana. I oto nowy powód, dlaczego tak szanowana! Papieże rzymscy woleli z bólem serca patrzeć na to, jak królestwa całe odpadały od Kościoła, aniżeli ich łączność z Kościołem okupić odstąpieniem od zasad niezmiennych. Ilużby i dzisiaj przyklasnęło papiestwu, gdyby zluźnić chciało karność kościelną mianowicie co do nierozerwalności węzła małżeńskiego. Ale Kościół nie daje się kierować ani przemocą wrogów, ani poklaskiem tłumów i nie stosuje się do zmiennych i chwiejnych sądów i zapatrywań ludzkich, ani nie ulega błędnym hasłom fałszywego postępu.

Tego nawet wierni nieraz synowie Kościoła zrozumieć nie umieli, sądząc się być powołanymi do dawania Kościołowi rad i przestróg, jak się ma stósować do nowoczesnych pojęć i wymagań świata; żądali i żądają od Kościoła reform, odpowiadających duchowi czasu.

Od kiedyż to Duch św., żyjący w Kościele i nim rządzący, ma pójść w naukę do tak zwanego ducha czasu? A jakiż to duch czasu, jakież wymagania świata? Czyż one może nowością dla Kościoła? O nie! Przed dwoma tysiącami lat już się Kościół z nimi zetknął. Kiedy Paweł św. do Koryntu przyszedł i do Rzymu, by głosić ewangelią, zastał tam wszystko, na co świat dzisiejszy taki dumny; wykwit cywilizacyi i kultury. I może się stósował do wymagań onego świata, do ducha owego czasu? Bynajmniej. A jak ich nawrócił i zyskał dla ewangelii? Oto tem słowem: *„My przepowiadamy Chrystusa ukrzyżowanego, Żydom wprawdzie zgorszeniem, a Grekom głupstwem.“* (1 Kor. 1, 23.) *Lecz tym, którzy zbawienia dostępują, to jest nam, jest mocą Bożą.* (1 Kor. 1, 18.) Między duchem świata, a duchem ewangelii, między pychą rozumu a pokorą wiary, między kultem zmysłów a zaparciem się chrześcijaństwa nie ma ustępstwa. Jedno nad drugiem zwyciężyć musi, albo mu uledz. Bo jak wówczas tak i dzisiaj, światu, dopóki się nie upokorzy i nie nawróci, słowo krzyża jest głupstwem (1 Kor. 1, 18), a krzyż, któryby światu się podobał, przestałby być krzyżem. — *„Proszę was,* pisał tenże Paweł św. do Rzymian, *proszę was tedy przez miłosierdzie Boże, abyście wydawali ciała wasze ofiarę żywiącą, świętą, przyjemną Bogu, rozumną służbę waszą. A nie bądźcie podobni temu światu, ale się przemieńcie w nowości umysłu waszego, abyście doświadczali, która jest wola Boża dobra i przyjemna i doskonała.“* (Rzym. 12,1—3.)

Wolą zaś Bożą jest, abyśmy szanowali te powagi, które nam ona tu na ziemi wskazuje i wymienia, na pierwszem miejscu władzę kościelną potem świecką, rodziców, starszych, przełożonych.

Nie zaginął wprawdzie, chwała Bogu, w naszem społeczeństwie szacunek dla najwyższej władzy kościelnej, dla Ojca św. i nie zaginie, dopóki nas stanie na ziemi. Świadczą o tem także uroczystości, jakie w roku jubileuszowym Ojca św. w każdem mieście, w każdej prawie wsi na cześć Leona XIII z takim zapałem obchodzono.

(Dokończenie nastąpi.)



Papież Leon XIII, jako były kardynał Pecci w otoczeniu krewnych.

Żona starszego brata Giovanni'ego z dwoma córkami. Camillo Pecci, synowiec papieża, syn Giovanni'go Pecci'ego. Gioachimo Pecci, teraźniejszy papież Leon XIII. Ludovico Pecci, najstarszy syn Giovanni'ego. Giovanni Pecci. Ricardo Pecci, najmłodszy syn Giovanni'ego. Carlo Pecci, najmłodszy brat papieża

DRUKIEM „PRACY."

Dział illustrowany.

Jubileusz Ojca Św.

(Do illustracyi.)

W dniu 2-gim marca rb. Ojciec św., Leon XIII, pełen blasku i chwały, wkroczy w 94-ty rok życia, a cały świat katolicki bierze szczery i serdeczny udział w tej niezwykłej uroczystości, łączącej z sobą dyamentowy jubileusz biskupstwa Ojca św. (19 lutego rb.) oraz srebrny jubileusz jego papieztwa (20 lutego rb.) Nadto dnia 19 grudnia rb. przypada złoty jubileusz jego kardynalstwa.

W dawniejszych rocznikach „Pracy“ pisaliśmy już często i obszernie o Ojcu św., podaliśmy szczegóły z jego życia i. t. d. obok licznych illustracyi. Dzisiaj zamieszczamy albumową illustracyę, obrazującą Leona XIII, jako byłego kardynała Pecci w otoczeniu krewnych, portret Ojca św., błogosławiącego z tronu, sporządzony podług najświeższej fotografii oraz rycinę, przedstawiającą Ojca św. niesionego w t. zw. sedia gestatoria podczas uroczystości watykańskich.

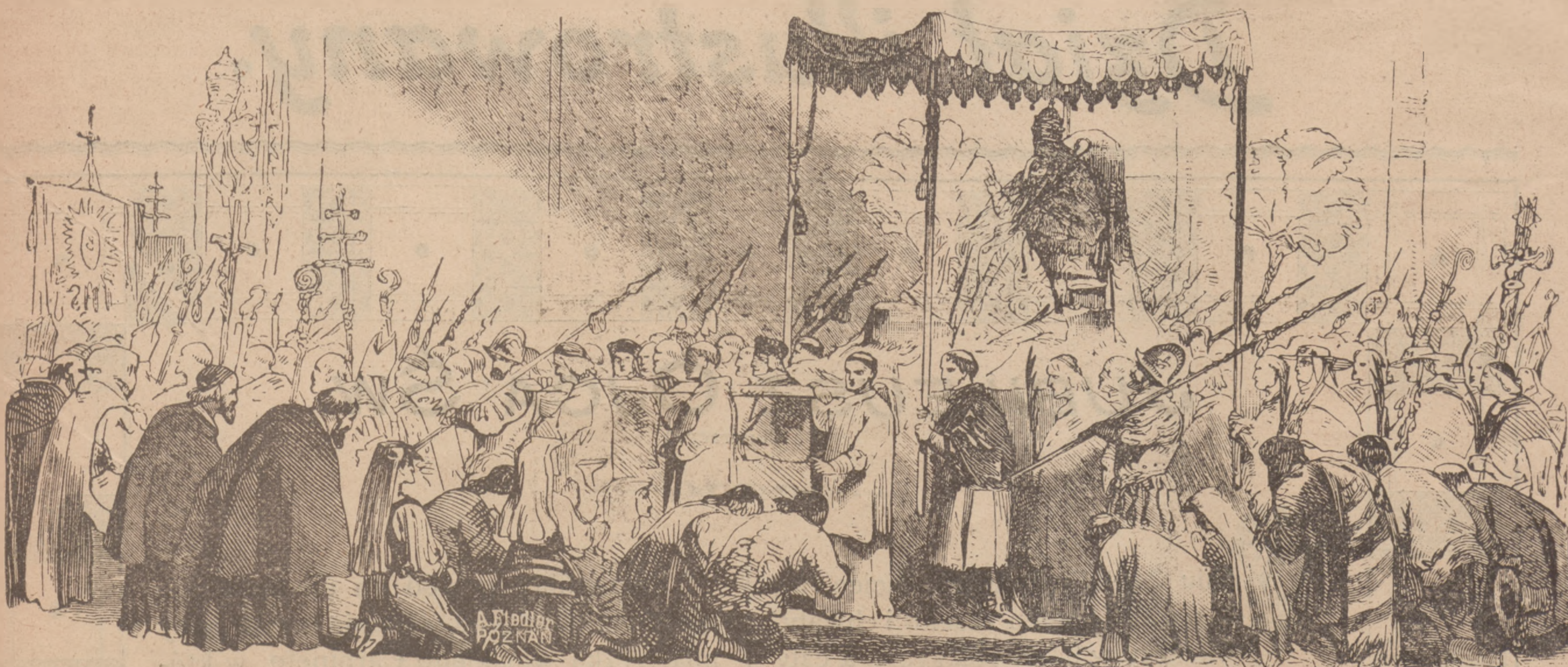


Ojciec św., Leon XIII błogosławi.

Szczególny powód do obchodu p... wyższych uroczystości mają mieszkańcy miasteczka włoskiego Carpineto, w którem, jak wiadomo, urodził się Leon XIII. W Carpineto żyje też najbliższy krewny papieża, jego bratanek hrabia Ludvico Pecci, który z wielkiem zamiłowaniem przesiaduje w bibliotece papiezkiej. Drugi bratanek papieża, Ricardo Pecci, jest rolnikiem i zajmuje się gorliwie gospodarstwem na swej włości, trzeci bratanek, Camillo Pecci, jest pułkownikiem przybocznej gwardyi papiezkiej. Portrety trzech bratanków zamieszczone są na illustracyi albumowej.

Na innem miejscu składamy najwyższy hołd dla „Księcia nad książętami“, który w ciągu pontyfikatu swego okazał się nie tylko najwyższym Pasterzem i Głową Kościoła katolickiego, ale również myślicielem głębokim, umiejącym utrzymać w harmonii naukę i religię.

—skł.



Ojciec św. Leon XIII, niesiony w t. zw. sedia gestatoria podczas uroczystości watykańskich.

Popielec.

I brzmiała muzyka, a para za parą
Pląsając, kręciła się w koło;
A rozkosz ułudna, pełną uciech czarą
Z rąk do rąk krążyła wesoło.

A światła płonęły tak jasno, uroczo,
W pryzmaty się mieniąc tęczowe,
I wzajem się z sobą mieszały ochoczo
Uśmiechy i stroje balowe.

I lica płonęły weselem i życiem,
A w żyłach kipiała krew warem;
A serca tancerzy spieszniejszem wciąż biciem,
Aż drżały pod uciech nadmiarem.

Wtem cóż to za dziwo? W tem kole namiętnem
Harmonia się mieszać zaczyna
I zwolna złowrogo, miarowem swem tętnem,
Północna wybija godzina.

I blaski wesela zaćmiły wnet chmury,
Pierzchnęła uciecha skrzydlata,
Po wtorku zapustnym, popielec ponury
Na progu zawładnął już świata.

Jak upiór grobowy z wybladłem swem czołem,
Szyderczem on rzucił spojrzeniem,
Na szaty godowe swym sypnął popiołem,
Na dusze nicości wspomnieniem.

Tak po dniach pustoty, skazówka zegara
Jest palcem, co niegdyś w uczt sali,
Tak groźnie nakreślił oczom Baltazara:
„Zważonyś" i Bóg cię obali. —

O! młodzi ty pusta! gdy w owej godzinie
Twą myślą na przyszłość się zwrócisz,
Jak groźnie do duszy ten głos ci popłynie:
„Proch jesteś i w proch się obrócisz"

Lecz tego, co wyższe zna cele,
Popielec zasmucić nie zdoła,
Bo droższą mu będzie nad płoche wesele,
Rozwaga z powagą u czoła.

E. L.

Powódź w Galicyi.

(Do illustracyi)

O strasznej klęsce, spowodowanej utworzeniem się zatoru lodowego na Wiśle, donoszą ze Szczucina:

Dnia 9-go z. m. utworzył się mianowicie zator lodowy na Wiśle, który spowodował niezmierny wylew wody. Wały ochronne do 9-go z. m. godziny 8.30 wieczór utrzymywały jeszcze szalejącą wodę, lecz dłużej już napływowi jej oprzeć się nie zdołały i woda poczęła najpierw przelewać się wierzchem wałów, wskutek czego nastąpił straszny popłoch i krzyki, wołające o pomoc.

Woda z szaloną szybkością zaczęła zalewać brzegi, na przestrzeni przeszło jednego kilometra i w kilka godzin później stały już w wodzie domy poblizkich wiosek tuż przy wale położonych.

Telegraficznie udano się o pomoc do starostwa w Dąbrowie, skąd zaraz zjechał starosta, p. Czepielewski, a zobaczywszy stan rzeczy, zażądał telegraficznie przybycia pionierów do ratunku, ewentualnie do rozbijania zatoru. Zator lodowy na Wiśle utworzył się w kilku miejscach i znajduje się na przestrzeni około 20 kilometrów, bo zaczął się od Borusowy, a kończy się koło Baranowa. W kilku miejscach ruszył zator i dotarł już aż do Laskówki pod Szczucinem. Stąd spiętrzyły się lody i utworzyły formalne skały na przestrzeni około 9 klm. Wał ochronny wytrzymał jeszcze parcie wody do 11-go z. m., lecz w końcu w kilku miejscach woda go przerwała, mianowicie w Łęce szczucińskiej, wskutek czego zalała woda 10 wsi i miasteczko Szczucin, gdzie około 20 domów stoi w wodzie.

Starosta p. Czepilewski zarekwirował wiekszą ilość żandarmeryi, a dnia 11. zm. popołudniu przybyło 30 pionierów z oficerem na czele i zaraz zaczęli nasypywać wały w miejscach, gdzie groziło przerwanie, lub przelanie wody. — Im zawdzięczać należy, że Szczucin nie jest kompletnie zalany, bo zatamowali wał właśnie w tem miejscu, w którem największe groziło niebezpieczeństwo dla Szczucina. — Woda przybiera ciągle i zatapia dalej okoliczne wsie na przestrzeni około dwóch mil.

Obecnie najbardziej rozwinięta jest akcya ratunkowa w kierunku wywożenia ludzi z domów, zagrożonych powodzią, lub też zatopionych i dostarczenia żywności tym, których z braku dostatecznej ilości łodzi wywieźć nie można.

Ludzie w miejscowościach, zalanych wodą, mieszkają na strychach, a bydło stoi w wodzie. Ratunek niemożebny, tem bardziej, że i aura się do tego przyczynia, bo ciągle panuje silny wiatr i zimno przenikliwe. Dnia 17-go lutego znowu przybyło 30 pionierów z dwoma wielkiemi pontonowemi łodziami z Krakowa i zaraz udali się na wodę, celem rozwożenia żywności i ratowania zagrożonych.

* * *

W zeszłym tygodniu rozpoczęto



Powódź w Galicyi

rozbijanie zatoru lodowego dynamitem, lecz wątpić należy, czy będą mogli dostać się do lodów na Wiśle, gdyż ogromny wylew wody przeszkadza wszelkiej akcyi.

Także w Królestwie Polskiem, naprzeciw Szczucina położone wioski i miasteczka stoją w wodzie.

Stacya telegraficzna w Szczucinie funkcyonuje w dzień i w nocy. Wszystkie zapasy żywności, jak pozakopywane ziemniaki, buraki i t. d., zboże w spichlerzach, siano i zboże w stertach, wszystko zniszczone i zatopione.

Widok straszliwy nędzy, rozpacz i płacz poszkodowanych rozdziera serce, a ręce wyciągają o pomoc.

W nocy wszystkie parterowe mieszkania albo są opróżnione, albo czuwają tam ciągle biedacy, nadsłuchując. Kto może, ucieka na piętra i strychy, a skoro dzień zaświta, widać rynkiem i ulicami, jeszcze dostępnemi, gromady ludzi, oczekujących dalszych wypadków.

* * *

Z Dąbrowy znowu donoszą: Na naszem Powiślu stan bardzo groźny, a mianowicie w Szczucinie samym woda jest na przedmieściu od Rynku zaledwie o 200 kroków, zaś równa się pod Lubaczem z powierzchnią wałów Kazimierzowskich, w skutek czego, przy bardzo małym napływie, bo 20 do 40 cm. przeleje wały i dojść musi do samego miasta. Gmin zalanych jest 10, a to: Łęki szczucińskie, Łęki żabieckie, Wola szczucińska, Maniów, Orczki, Czołnów, Borki, Świdrówka i Słupiec.

Zator zajmuje przestrzeń 29 klm. od Kupienina aż po Gliny małe, stoi spokojnie w całym korycie Wisły i ani myśli ruszyć. Woda rozlana sięga pod Stopnicę i Pacanów, czyli dwie i pół mil.

Ratunek formalnie niemożliwy, do rozsadzenia tak dużego zatoru potrzebaby jakichś nadzwyczajnych środków i ofiar ludzkich; akcya ratunkowa pod kierunkiem starosty p. Czepielewskiego, pomimo słabego oddziału pionierów, dobra, starosta pracuje ponad siły i faktycznie należy mu się wielkie uznanie. Okazuje w tem zdarzeniu takt i oryentuje się szybko w groźnej sytuacyi.

Prawdziwy wylew datuje się od 10-go z. m., t. j. od czasu, kiedy 17-kilometrowy zator z pod Siedliszowic zwiększył zator pod Szczucinem; obecnie grozi niebezpieczeństwo, gdyż zator z pod Ujścia solnego dojdzie do Szczucińskiego. Domy po dachy pod wodą. Podobno powodzianie żywią się surowem mięsem, gdyż bydło powynosili na strychy domów, a tam się ugotować nie da.

Straty w ludziach są także, a bydła miała woda dużo wytopić. Dokąd to potrwa, trudno odgadnąć.

Dopiero w ostatnich dniach rozpoczęto rozdawać chleb pomiędzy tych, których najsrożej dotknęła klęska powodzi. Oddział pionierów, sprowadzonych z Krakowa, na pontonach ratuje, co może; podobno dwóch pionierów utonęło. Sprowadzono także celem rozsadzenia zatorów środek wybuchowy, tak zw. „ekrazyt.“ Akcyę ratunkową, jak zwykle, rozpoczęto po niewczasie, kiedy już stało się nieszczęście.

Tymczasem nic nie zrobiono, aby nie dopuścić do nieszczęścia, które skutkiem opieszałości władz dotknęło najuboższych, rujnując ich mienie i skazując na nędzę głodową.

W. N.

Z chwili.

(Do illustracyi.)

Czuć proch na Wschodzie bałkańskim, a ludzi, którzy chcą słyszeć, jak trawa rośnie, dolatuje już odgłos armat na granicy bułgarsko-tureckiej. Przoduje w tem prasa angielska.

W Austryi trochę spokojniej zapatrują się na „groźne chmury na Wschodzie,“ a minister obrony krajowej Welsersheimb, zapytany w Izbie



Aresztowany bułgarski generał Iwan Conczew, wiceprezydent macedońskiego komitetu centraln.

poselskiej w Wiedniu, ile jest prawdy w tem, że Austrya wysyła na południe swych granic trzy korpusy, aby z niemi wkroczyć do Albanii, zaprzeczył temu wszystkiemu jak najkategoryczniej.

Mimo tego — czuć w powietrzu proch, gdyż inne mocarstwa podjęły kroki, które zdają się wskazywać na to, iż istotnie na Bałkanie kupią się jakieś groźne chmury, grożące wybu-



Dowódzca oddziału powstańców macedońskich pułkownik Anastas Jankow, zwany „niemogący być raniony Janko Pasza.“

chem burzy na granicy bułgarsko-tureckiej.

Od czasu podróży rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, hr. Lambsdorfa, umysły są szczególnie wzburzone. Kanclerz rosyjski poruszył pierwszy sprawę macedońską. W Wiedniu ustanowiono program, który miał być przeprowadzony u Porty, a miał na celu reformy macedońskie.

Program ten jest dotąd jeszcze tajemnicą rządów wiedeńskiego i petersburskiego, w Konstantynopolu jednak widocznie nie pragną wmięszania się kogoś obcego do spraw wewnętrznych Turcyi — stósownie do starego przysłowia tureckiego: „co komu do domu, kiedy chałupa nie jego‘‘ — i wzmacniają garnizony na granicy.

Tymczasem stan w Macedonii, jest rzeczywiście groźny, chociaż rząd bułgarski (pozornie) usłuchał mocarstw i kazał aresztować przywódzców ruchu rewolucyjnego, przebywających w Bułgaryi: Conczewa, Michajłowskiego i Staniszewa.

Aresztowany bułgarski generał Iwan Conczew służył jako ochotnik w rosyjsko-tureckiej wojnie 1877-go roku, w wojnie tej został ranny. W 1886-ym r. pełnił służbę kapitana w wojnie serbsko-bułgarskiej i za waleczność otrzymał order. W 1896-ym roku był nadkomendantem pułku księcia Ferdynanda, zaskarbiwszy sobie u księcia wielkie względy. Następnie awansował na komendanta brygady twierdzy Widdinia, później przeszedł do rezerwy i wybrano go wiceprezesem macedońskiego komitetu centralnego. Conczew jest znakomitym strzelcem.

Pułkownik Anastes Jankow, który przed aresztowaniem zdołał szczęśliwie zbiedz, a któremu Turcy nadali miano „niemogący być raniony Janko Pasza,‘‘ jest walecznym i nieustraszonym żołnierzem. Jankow jest dowódzcą oddziału powstańców po prawej stronie rzeki Wardy, stoczył już wiele potyczek z wojskiem tureckiem i zabił dotychczas własną ręką przeszło 100 Turków.

—ski.

Czary i czarownice.

Dwa wyrazy powyższe śmiało mogłyby dziś być zupełnie wykreślone z liczby mających jakiekolwiek znaczenie. Oświata, zwolna przenikająca w najgłębsze warstwy społeczne, uczyniła je niezrozumiałemi. Sięgając jednak myślą w ubiegłe czasy, a choćby nawet tylko do pierwszych lat minionego stulecia, przekonamy się, że wyraz „czary‘‘ był na ustach ludzkich niemal codziennym gościem, a wyraz „czarownica‘‘ — aktem oskarżenia, zagrażającym torturami i stosem.

Na dobro cywilizacyi zapisać należy, wymazanie tych wyrazów z naszego słownika.

By jednak potomnym zostawić obraz skutków ciemnoty, spojrzmy raz jeszcze na tła przekonań naszych przodków o czarach i czarownicach.

Wszystkiemu złemu winien był czart, ten nieprzyjaciel rodu ludzkiego. We wszystkiem też widziano jego rękę, lecz nie mogąc znaleźć sposobu pomszczenia się na nim, żądza zemsty wskazywała ludzi, posądzonych o stosunki z czartem, który jakoby za pośrednictwem tych wybrańców swoich dokuczał innym. Takich to wybrańców, bez względu na to, czy byli nimi mężczyźni, czy kobiety, nazywano czarownikami lub czarownicami.

Piorun w chatę uderzył, umarł ktoś nagle, chorował długo, dom się zawalił, wóz na drodze przewrócił się, myśliwy do zwierza nie trafił, krowa mleka dawać zaprzestała — wszystko to było dziełem czarów. Czego nie umiano wytłomaczyć sobie w sposób naturalny, widziano w tem przyczynę nadprzyrodzoną, a rozbujała imaginacya doprowadzała do tego, że nawet sen brano za rzeczywistość, jak również i wszelkie przywidzenia chorobliwe. A przywidzenia te doszły do tego, że ludzie nawet bardzo wiarogodni, gotowi byli zaprzysiądz, iż widzieli własnemi oczyma czarta. Czarownicy lub czarownice brane na tortury zeznawały, że rzeczywiście obcowały z szatanami, że pamiętają, iż ubrany był we frak, z rogami na głowie i ogonem, z kurzą stopą u jednej nogi, a kopytem końskiem u drugiej, że z oczu tryskały mu płomienie, że tańczyły z nim przy świetle księżyca, że jeździły w nocy na Łysą górę na łopacie, prześcigając się w tych opowiadaniach, a suggestyonowane przez siebie, samych, z pełną wiarą opowiadały o mocy nadanej im przez czarta.

Zwykle stare kobiety z ludu, trudniące się znachorstwem, uważano za czarownice, ale bywały przykłady, że obwiniano o czary ludzi bez różnicy płci, wieku i stanu. Dzieje narodów pouczają nas, że nienawiść ludzka ośmieliła się częstokroć o czary obwiniać kapłanów, królowe lub kilkunastoletnie dzieci. I nie sama tylko ciemnota grała tu rolę — zdrada, podstęp i nienawiść, miały szerokie pole do rozwinięcia swych rządz nienasyconych. Jeżeli chciano kogoś usunąć z swej drogi, zagrabić mu majątek, zbezcześcić lub widokiem mąk i krwi ludzkiej nasycić siebie — rzucano podejrzenie na wybraną osobę, oskarżając ją jawnie lub tajemnie o stosunki z czartem.

Robactwo w czasie suchego lata zniszczyło zasiewy w polu, z tej lub innej, na razie niewytłomaczonej przyczyny, oszczędzając zasiewy jednego z sąsiadów. Biada mu! Złość ludzka rzuca na niego podejrzenie o czary i stawia go przed sądem, równie jak lud ciemnym i zabobonnym. Sąd ten skazuje posądzonego na tortury a następnie na spalenie na stosie. Najniewinniejszy niejednokrotnie przyznawał się nareszcie w męczarniach do tego, co mu zarzucano, sądząc, że to go od katuszy uwolni lub śmierć przyśpieszy, a lud ciemny widział w tem potwierdzenie domysłów lub oskarżenia.

Początek czarownic pokrywa mgła wieków. Wiara jednak w czary najsilniej rozwinęła się w Europie w wiekach średnich, a przechodząc z kraju do kraju, dostała się też i do Polski.

Oto co nam dzieje przekazują w podaniach o czarownicach. Chcąc zostać czarownikiem lub czarownicą, należało zawrzeć umowę z czartem, co odbyć się mogło tylko o północy na drogach rozstajnych. Dla wywołania czarta do umowy istniały najrozmaitsze zaklęcia, a gdy zjawił się szatan w postaci kozła czarnego lub kuso ubranego Niemca, czarownica prosiła go, by ją wymazał z księgi żywota, a wpisał w księgę śmierci. Jednocześnie odda-

wała dyabłu swą duszę i ciało, składając mu w ofierze kawałek sukni. Od tej chwili czarownica miała moc czynienia czarów, rzucania uroków, zamawiań i t. p.

Po zawarciu takiej umowy było obowiązkiem czarownicy w pierwszą pełnię księżyca, w nocy z piątku na sobotę siąść na miotłę lub łopatę i z ożogiem w ręku przez komin pojechać na Łysą górę, by tam być obecną na ogólnem zebraniu czarownic. Dziś zdaje nam się, że to jest niepodobnem, aby ludzie zdrowi na umyśle wierzyli w takie bajki, a jednak wiara w to była tak silną, iż potrzeba było kilku wieków, aby rozum ludzki przekonać o niedorzeczności tych twierdzeń. Przyjrzyjmy się jeszcze z kolei, jakie zarzuty czyniono czarownicom. Oto mogły one wyjmować serca ludzkie i wkładać na ich miejsce zajęcze lub ptasie, mogły z największego oddalenia zabijać niemowlęta, oślepiać ludzi za pomocą przeciągnięcia włosa przez oko żaby, odbierać krowom mleko, sprowadzać burze i grady, zamieniać ludzi w wilkołaki i t. p..

L. V. J.

(Dokończenie nastąpi).

WICHER JĘCZY....

Jęczy dokoła wicher okrutny,
Jakby na ciężką dolę,
Jakby na nowy znów nasz los smutny,
Jęczy i gna przez pole.

Po drodze z każdym bolem się krewni,
Z łzą każdą i rozpaczą,
I coraz głośniej, tęskniej i rzewniej
Wszystkie w nim echa płaczą.

Płaczą w nim smutki duszy sieroty,
Rzuconej w odmęt życia —
Skargi rozpaczy, ciche tęsknoty
I wszystkie snów rozbicia.

Całe męczeństwo i boleść świata,
Wydane w serc konaniu,
Z wichrem się zlewa, z wichrem się brata,
W wichrowem jęczy łkaniu.

Słucham muzyki, słucham nie we śnie,
Każdą rozumiem nutę —
O! jakże ciężko, jakże boleśnie
Myśli mam nią zatrute...

I słyszę z serca skargę donośną,
I jakiś rozgwar bitwy,
I chcę się modlić, modlić się głośno,
I nie mam słów modlitwy...

„Boże!“... a wicher jęczy okrutny,
Jakby na krwawą dolę,
Jakby na wieczny już los nasz smutny —
I bierze myśl w niewolę.

Przeczuciem ciężkiem, echem złowrogiem,
Zbolałe serce męczy —
I łka gdzieś w dali, jęczy przed progiem —
I w mojem sercu jęczy...

Mieczysław Gliński.

Wycieczka po żonę.

— Chcesz się żenić, Józiek? Co? Gadajno, a szczerze.

Spuściłem oczy.

Opanowała mnie skromność ekstra nadzwyczajna.

Żenić się? To niby, panie święty, wziąć sobie na własność lube jakie trusiątko o ślipuszkach modrych i malinowej buzi.

Płomienie mi na twarz uderzyły.

— Proszę ojca, jam gotów... — rzeknę śmiało, bo istotnie byłem gotów.

Skłonność do żeniaczki czułem od dziesiątego roku życia. Dalibóg prawda.!

Pamiętam, żem zawsze w sercu ideał jakiś piastował, czy to bosy, czy w brudnej zapasce, czy pannę z miasta wyfiokowaną, wszystko jedno!

Ojciec też, gdym chętną gotowość ku aktowi małżeństwa okazał, chwycił mnie za czub i trzęsąc nim mówił:

— Oj, ty, ty wisusie!

I od dnia tego, dalejże plan kampanii układać?

Matka powiada, że w tych czasach się żenić, to nie byle co!... Okropnie pono ten początek XX wieku pannom zaszkodził. Matka się upiera, że to mężczyźni temu winni, a ojciec bije w cywilizację. „W głowach im się — niby pannom — przekręciło“... — powiada, a matka na to:

— To też trzeba Kalusiu (rodzicowi memu Św. Kalasanty patronuje) ostrożnie. Ja znam wszystkie panny w sąsiedztwie i w miasteczku. Będzie miał Józik w czem wybierać. Wypiszę mu na karteczce imię, nazwisko, lata, co która ma, a czego niema. Łatwiej będzie podług tego spisu znaleźć coś odpowiedniego.

Przyklasnęliśmy matce obadwa z ojcem; ojciec nawet dwa razy za to matkę pocałował.

Matka dodała jeszcze:

— Jedźmy w sobotę. W sobotę zwykle pogoda dopisuje... Lubię zresztą wszystko od soboty zaczynać.

Kiedy więc sobota owa nadeszła, chociażem się mimo wołania rodzica na lewym boku wygodnie ułożył do przedłużenia rozkoszy Morfeuszowych, gdy tylko ojciec krzyknął mi nad uchem: „Wstawaj, w konkury jedziemy“ — zerwałem się na równe nogi.

W mig się umyłem. Wojtek brzytwę wyostrzył jak szkło, parę razy nią bestya po policzku przejechał aż krew pociekła, ale w końcu wygolił, wyskrobał, wymydlił, wyszczotkował i kiedym przed zwierciadłem stanął, samem się do siebie uśmiechnął.

Potem się ojciec z matką posprzeczali. Matka chciała, abym się w perłowego koloru... ubrał, ojciec głosował za czarnemi, jako odpowiedniejszemi do fraka. Oczywiście na matczynem się stało, chociaż zły byłem, bo nic łatwiejszego jak w porze wiśni i jagód kort jasny splamić. Matka i tak narzeka ciągle, że sosy na odzieniu konserwuję.

Po rannej kawie tedy, w sobotę, wsiedliśmy z matką do świeżo na ten cel pomalowanej żółtą farbą nejtyczanki, siwkami zaprzężonej i ruszyliśmy w imię Boże!

Gościniec szedł ku lasowi, jak strzelił.

Po obu stronach dębami wysadzony, od czego też i nasze Dąbki Dąbkami się zwały. Dopiero za lasem drogi rozbiegały w różne strony.

Słonko, choć mu do południa daleko było, prażyło jak w Afryce; pot nam na skroniach siadł, koniska ledwo się muchom i innym uprzykrzonym owadom opędzić mogły.

Gdyśmy z lasu wyjeżdżali, matka rzecze:

— Józik, zobaczno tam w notesie, która panna na początku stoi.

Sięgnąłem do kieszeni.

„Odorane łapki“ przeczytałem na wstępie ręką matki skreślone. — Panna jedna, ale mogą być i dwie, bo Magdzia dorasta. Posag nie duży, ale pewny i odrazu. Panna Pelagia to sam raz dla Józika i wzrostem i figurą.“

Spojrzałem na matkę.

— A no to jedźmy! — mówi.

Skręciliśmy na prawo.

Żyto już było zżęte i pszenica; jęczmień ino i owies potrząsał w słońcu złocisto zieloną kiścią, a już co łubiny i gryka to tak pachniały, aż w nosie kręciło.

Jechaliśmy w milczeniu.

O czem matka myślała, niewiem. Co do mnie powiem szczerze, iż panie święty, w dziwnie słodkim byłem nastroju. Bo przyznacie państwo sami, że jechać do panny, z którą dozgonne śluby połączyć nas mają, to jest w każdym razie wypadek niezwykły i duże ryzyko.

Upał mnie do reszty rozmarzył, więc oczy przymknąłem i — niech się państwo nie śmieją — ale tak mi było, jakbym już pannę Pelagję Odrzyńską w ramionach trzymał i wchłaniał w siebie te słodkie wonie młodości i świeżości, które od niej biły, niczem łubin kwitnący i miodem pachnąca gryka.

Południe już było, gdyśmy przede dworem Odrzyńskim stanęli.

Dworek był jakich wiele, ale wybielony, czyściutki. Przed dworkiem trawnik szeroki, upstrzony mozajką indycząt, gąsiąt, perliczek; gromadka biało-różowych prosiąt w miłej zgodzie pląsała opodal.

— Ot, gospodarstwo! — chwali matka — a wszystko w panny Pelagii ręku. Ojciec się do gospodarstwa nie wtrąca, a Odrzyńska dawno zeszła ze świata.

Poczciwe matczysko ulżyło sobie nad nieboszczką westchnieniem, gdy tuż przed nami, jakby słup drogowy z ziemi wystrzelił, zjawiła się panna Pelagja.

— Patrz, patrz! — szepce matka, gniotąc mi ramię. — Panna Pelagja!

— Otworzyłem szeroko oczy.

— Gdzie? Która? Widzę jakąści figurę, panie święty, ale żeby to była ta panna Pelagja, którą ja w rozkołysanej wyobraźni do piersi przed chwilą przyciskałem, to już nieprawda! Bo niech sobie państwo wyobrażą: Wzrost sosny masztowej, objętość starej lipy, która u nas w Dąbkach przede dworem stoi, policzki jak dwa dojrzałe pomidory, włosy żółte jak marchew.

Niechby tam już te nowalie, bo i tak zawsze matce powtarzam, że jarzyny wolę niż mięso... tylko to najgorsza, że patrząc na pannę Pelagję nie mogę, panie święty, odgadnąć, do jakiej kategoryi tworów Boskich ją zaliczyć. Niby kobieta, — proszę państwa, a nie kobieta. Niby panna, a przecie na pannę czegoś jej brak. Aaa! niech matka daruje, ale żebym ja miał konkurować o takie straszydło...

Ale matka jak gdyby nigdy nic, jak mnie sturgnie w bok...

— Wysiadajże! — mówi. — I mnie rękę podaj!

Wyskoczyłem z bryczki.

Nim rodzicielka moja wysiadła, na ganku stała już w oczekującej postawie panna Pelagja.

— Mój syn! Józef! — rekomenduje matka z dowcipnym uśmiechem, który mnie do wściekłości pobudza.

Kłaniam się, panna wyciąga do mnie twardą, opaloną rękę i potrząsa nią w tak energiczny sposób, że aż mi coś, z przeproszeniem państwa w ramieniu chrupnęło.

— Bardzo mi przyjemnie! — mówi, wprowadzając mnie w kłopot, boć ja przecie o swojej przyjemności nicbym jej orzec nie mógł.

— Pan pewno gospodaruje za ojca, nieprawdaż? — indaguje panna Pelagja obcesowo, gdyśmy się w salonie znaleźli. — Śliczny omłot mamy w tym roku. Rozkosz, jak pszenica sypie. A jakże kartofle u państwa? U mnie zgniły na dołkach. Jak Bozię kocham, prawda! Czy pan dużo sadził buraków? Te gałgany cukrownicy cenę podobno obcięli. Słyszałeś pan? Ale proszę siadać, bardzo proszę! Ojca niema, Magdzia gdzieściś bąki zbija.

Usiedliśmy.

Ja, panie święty, takim zły, żebym kąsał, ale nie myślcie państwo, że na pannę Pelagję.

Tej bym nawet w napadzie wścieklizny nie ruszył.

— Matko, uciekajmy ztąd!... błagam, gdyśmy na chwilę zostali sami.

Ale, matka mówi, że nie wypada, bo właśnie „coś" podają i obraziliby się.

Istotnie, w kilkanaście minut potem zjawia się w salonie dziewka, dźwigając tacę z przekąskami.

— A stawiajże, gapiu! — odzywa się bez ceremonii panna Pelagja.

W obawie jakiego wypadku, bo widzę dziewka się formalnie pod tacą ugina, pośpieszam z pomocą.

Panna Pelagja biegnie z drugiej strony, spotykamy się i — ofiarą spotkania tego staje się niewinna taca, która z brzękiem pada na ziemię.

—A jak Bozię kocham, jaki też pan niezgrabny! — woła zaindyczona panna Pelagia.

— Ależ pani! probuję usprawiedliwić się, lecz moja „półpanna," bo inaczej zwać jej nie podobna, mówić mi nie pozwala.

— Poczęstowawszy kułakiem w kark dziewkę, rzuca się do zbierania skorup i przysmaków.

Matka patrzy na mnie z oburzeniem, a ja, panie święty, do niczego się nie poczuwam.

Tymczasem panna Pelagia mówi do matki:

— Otóżto mężczyźni, proszę pani. Do czego oni zdatni? Gdyby nie żelazna prawica niewiasty, która trzyma, dźwiga, popycha, podpiera, wszystkoby w przepaść runęło, jak ta taca.

— Ależ pani dobrodziejko!... probuję tak słodko modulowanym głosem, że nawet mnie samemu się zdawało, jakoby te dźwięki fletowe z innego wychodziły gardła. Niechże już wina będzie po połowie, bo ja...

Tu panna Pelagia poderwała się z ziemi, jak gdyby ją kto w najboleśniejsze miejsce ugodził.

— Co? Po połowie? Do żadnej połowy z panem się nie przyznaję. Żadnej, żadnej! Już się teraz kobieta bez pomocy waszej obejść potrafi. Samodzielna, samoistna, energiczna, w każdym wypadku da sobie radę.

Szarpnąłem wąsa ze złości.

— A więc dobrze! — mówię z ukłonem.

Skoro pani sama przyznaje wyższość nad nami w każdym wypadku, więc i niniejszy z tacą niechaj będzie wyłącznie jej zasługą.

— Józik na rany Boskie, trzymaj język... zajęczała mi matka w same ucho.

Panna Pelagia udała, że mnie nie słucha; obrzuciła mnie tylko spojrzeniem piorunnem i syknęła przez zęby:

— Oj, ta młodzież teraźniejsza! Smutno patrzeć, jak Bozię kocham! Niedołęgi moralne, niedołęgi umysłowe, niedołęgi fizyczne. I to mają być podpory, filary społeczeństwa, mężowie, ojcowie rodzin... Brrr!!.

Wstrząsnęła się i, patrząc na mnie jak Jowisz z Olympu dodała z lekceważeniem bardzo zbliżonem do pogardy:

— Niechże pan choć te osmażane w miodzie gruszki podniesie z ziemi.

Krew mi do twarzy nadpłynęła.

Bo niechże państwo sami powiedzą, na jakiej podstawie ta, ta „półpanna" niedołęstwo mi ogólne przymawia.

Tak mnie to rozgniewało, że stałem się głuchym, ślepym i nieczułym na wszelkie matczyne półszepty, półspojrzenia i ukradkowe dotyki czy to w łokieć, czy gdzieindziej popadło.

Tak to się zaraz byle czem zrazisz — perswadowała mi matka po cichu, ale choć markotna, ruszyła się żegnać.

Było już po pierwszej, gdyśmy opuszczali „Odorane łapki."

Nie mógłbym oczywiście na to przysięgać; ale — panie święty, tak mi się cości zdawało, jakobym na szybie odbity języczek panny Pelagii zobaczył.

Kto to wie! Prawdę mówiąc, tośmy się nawet nie pożegnali, bo kiedym rękę do niej wyciągał, ona mi powiada:

— Mazgaj pan jesteś! Ładnie ty musisz gospodarstwo ojca prowadzić.

Więc chociaż mnie matka ciągnęła, zdalekam się już jeno tej nadobnej „półpannie" skłonił.

— Gdzieś kazał jechać, Józik? — pyta mnie matka, gdyśmy wrota minęli.

— Zajrzyjno do kartki.

Wyciągnąłem powtórnie notes.

„Różana górka" — przeczytałem i jakoś mnie ta nazwa odrazu dobrze

usposobiła. Wiało od niej poezyą, świeżością, wdziękiem.

Mieliśmy akurat kawałek „dziadowskiej drogi“ do przebycia, więc gdy się matczysko gorącem rozmarzone, kiwało to na prawo, to na lewo, jam rad z tego, cały poezyi się oddał.

Wionął na mnie prąd natchnienia, czuję, że mam rymów pełno, nietylko w głowie, lecz i na języku.

I wyobraźcie sobie państwo, tak mi się wydało, jakoby przedemną unosiła się w eterze cudna postać boginki z „Różanej górki“ i wabiła ku sobie.

Więc półszeptem, potem coraz głośniej jak nie zacznę rymować!!

Aż tu matka kiwnęła się raz, kiwnęła drugi, a potem zdumionym wzrokiem wodząc dokoła mówi:

— Józik, a tobie co? Czy cię tak gorąco zamroczyło? Czego tak wrzeszczysz?

Nie słuchałem. Uniósłszy się na siedzeniu rzuciłem przestworzom, lasom, górom, dolinom, płody mego wieszczego ducha.

„Ty, coś zakwitła jak lilii kwiecie,
„Od róży wzięłaś woń i barwy cudne,
„Ty jedna będziesz mym duchem na świecie
„I w rzeczywistość obleczesz sny złudne.“

Tu mnie matka pociągnęła za rękaw.

— Józik, patrzajże, jak to baby oczy na ciebie wybałuszyły.

Spadłem z obłoków.

Wzrokiem, w którym majaczyły ostatnie podrygi ulatującego natchnienia, powiodłem po gościńcu, kędy istotnie w niemym podziwie zatrzymywały się wracające z jarmarku baby.

Przypomniałem przypowieść o perłach, rzucanych pod nogi... i umilkłem.

— Ot i „Różane górki“ — wskazuje matka rozsiadłą na wzgórzu wioskę.

Wytężyłem wzrok.

Z gościńca wązka dróżka ku celowi podróży nas wiodła.

Ani drzewka, ani płotka.

Z jednej strony kartoflisko ze zczerniałemi od skwaru łęcinami, z drugiej kawał ugoru, ciągnący się hen, ku lasowi.

Wjechaliśmy w opłotki.

Gromada dzieciaków urządziła nam razem z psami kocią muzykę. Nie zważałem, bo dziwnie przykro dotknął mnie widok rozwalonych na pół chałup i opuszczony wygląd całej wioski.

— Pałac już widać — zauważyła matka.

Drgnąłem.

„Z pałaców sterczących dumnie —
„Zejdź piękna do mojej chatki.“

Wspomniałem słowa nieśmiertelnego wieszcza i wzrok tęskny wysłałem ku pałacowi.

Zajechaliśmy.

Cicho, głucho. Okiennice przymknięte, na balkonie spuszczona markiza.

Chłopak w liberyi wypadł na spotkanie nasze i stanął, gapiąc się na żółto pomalowany nasz ekwipaż.

— Państwo w domu? — pytam.

Wybałuszył na mnie okrągłe jak u sowy ślepie.

— Som, — powiada — ale śpiom. Panna w hajmaku, bo bez całuśką noc z trupamy gadała, a pan tyż w worek jakiściś wlazł, co mu się do samej ziemi dynda.

— Szlafrok — roześmiała się matka.

— No, to poczekamy.

Weszliśmy do wnętrza.

I tu cisza jak w krainie nieboszczyków.

Ciemne firanki i portyery wygnały jasne słonko z tych posępnych komnat.

Meble rypsem czarnym kryte, kwiatka, obrazka choćby na lekarstwo nie widać

Czuję, jak pierś mą obejmuje lodowa powłoka.

Więc to tu przebywa pół-anioł, półdziewica czysta jak lilii kielich, ponętna jak świeżo z pąka wykwitła róża, wonna jak oba te kwiaty razem!

Czarny smutek padł na mnie.

Wtem ode drzwi przeleciał szmer, wionęło, zaszumiało i, panie święty, czarny jakiści obłok przesunął mi się przed oczyma.

Aż tu naraz słyszę głos matki, potem cmok, cmok...całują się, i znowu matka mówi:

— Droga Elżuniu, mój syn, Józef... On tak jak i ty, kilka lat dla edukacyi za domem spędził....

Pokłoniliśmy się sobie z daleka.

Od panny w czarną szatę przybranej, choć wcale niebrzydkiej, wiało chłodem, a i ja takoż panie święty, kawał lodu zamiast serca czułem w piersi.

— Ojciec pisał noc całą — ozwała się panna. — Mama w lesie herboryzuje. Może państwo przejdą do mego gabinetu?

Wiele rzeczy mam ciekawych.

— Dobrze, Elżuniu, ale jak ty się zmieniłaś....

— Pozwoli pani zwrócić sobie uwagę — przerwała panna grzecznie: — porzuciłam imię Elżbiety jako czysto kobiece, bo ja zerwałam ze wszystkiem, co kobiecości dotyczy. Nazywam się teraz Alberta-Wojciecha.

Zgłupiałem.

Ta panna nazywa się Alberta-Wojciecha, czyli panie święty, że gdybym ja, tę oto pannę w kirze pojął za małżonkę, to musiałbym mówić do niej: Alberto-Wojciecho!

Nie wiem nawet, panie święty, czy można na pojedynkę uważać, czyli też oba imiona razem.

Splunąłem ukradkiem.

„Ty coś zakwitła jak lilii kwiecie,
„Od róży wzięłaś woń i barwy cudne...

A niechże cię wszyscy d.....! To trzeba mieć pech, panie święty.

Uczułem w gębie smak piołunu.

Od progu już owiało mnie tak duszne powietrze, żem mało nie padł; a gdym się rozejrzał w około... oj!

Cobyście też państwo powiedzieli, gdybyście w gabinecie młodej panny ujrzeli, panie święty, to, com ja ujrzał. Na lewo — trupia głowa, na prawo szkielet nagi, na stoliku szczęka jakiegoś biedaka wyszczerza ku tobie zęby, dalej kociołki, kotły, patelnie, preparaty, aparaty i ta woń, od której mi nos napęczniał jak kartofel.

Nie śmiałem spojrzeć na matkę, więc niby z ciekawością zatrzymuję wzrok na rozłożonych książkach i papierach.

„Gruczoły trawienne jamy ustnej“ czytam wykaligrafowane pięknem kobiecem pismem.

Umykam dalej z oczyma:

„Żółć otrzymuje się z wątroby. Jest to płyn żółtawy, gęsty, dużo soli i kwasów żółciowych.“

Oj! Zaczyna mnie w żołądku, panie święty, coś niby kręcić, tłoczyć... Licho wie...

— Że też to Elżunia nie przewietrza mieszkania — słyszę omdlewający głos matki.

A panna Alberta - Wojciecha odpowiada z tryumfem:

— Wie pani? Ja się lubuję, ja się rozkoszuję, delektuję tym zapachem! To jest właśnie prawdziwy zapach, jaki panuje w prosektoryach. Specyalny. Tego mi żadne perfumy nie zastąpią. Czy pan Józef nie studyuje medycyny? To szkoda! Mnie kursa idą wyśmienicie, ale też podczas wakacyi nawet pracuję ogromnie.

Kiedym ztamtąd wyszedł, kiedym siadł na bryczkę, dalibóg nie wiem. Odetchnąłem dopiero pełnemi płucami o wiorstę od „Różanej górki!“

— Do Łazowa, prędzej do Łazowa! — woła moja matka zmęczona.

Siedziałem jak automat.

Jużem nie marzył, nie poetyzował. Panna Pelagia i panna Alberta-Wojciecha opuklerzyły mnie przeciw wszelkim czarom niewieścim.

Zimny jak głaz przestąpiłem progi dworu w Łazowie.

Od pierwszej chwili owionęła mnie ciepła atmosfera, dziwnie miła i świeża.

— Mój syn, Józef! — zarekomendowała po raz trzeci w dniu dzisiejszym matka.

Ukłoniłem się obojętnie, nie patrząc Aż tu panie święty, mięciuchne jakieś łapki objęły moją rękę, i głosik jak dzwoneczek zabrzęczał mi nad uchem.

— Ja pana Józefa pamiętam!

Spojrzałem.

Przedemną stało dziewczę młode, wiotkie i z pod płowej czupryny, w skrętach i lokach figlarnych opadającej na czoło, patrzyło ku mnie dwoma ślicznemi bławatkami. Biało-różowa buzia śmiała się pogodą, weselem, malinowe usta, do pocałunków stworzone, ukazywały szereg najpiękniejszych pereł.

I dalibóg, nie od dentysty!

Wyszliśmy do ogrodu dawne czasy przypomnieć.

Panna Stefka pokazywała mi swoje kwiaty, swoje warzywa i najpiękniejsze minki. A żem się zdawna do miłości przygotowywał i aura sprzyjała, bo wieczór był cudny, jakby dla zakochanych, więcem rączkę Stefki w mojej uwięził i, biorąc niby asumpt z tego, że się dawniej znaliśmy, szepnąłem mojej koteczce: „kocham“ w sam środek różowego uszka.

Że przytem zachodzące słońce gdzieści za drzewa się skryło, więcem i całusa ukradł jednego, drugiego...

Panie święty! Myślałem, że się w tych słodkościach na miód roztopię, a gdy się Stefka nie broniła, przyciągnąłem ją do piersi i odrazu walę: „Musisz być moją żoną. Innej nie chcę.“

Aliści gdym to wyrzekł, moja śliczna koteczka jak nie skoczy na bok! I jak przedtem płomienie miała w oczach, tak teraz panie święty, połyskują jak ze stali.

I kiedy się zacznie śmiać!

Mnie afekt gorący parł ku niej przebojem, więc, panie święty, na nic nie zważając, chcę jej rączki pochwycić i coraz czulej powtarzam:

— Proszę cię królowo! Musisz być moją żoną.

Panna Stefka spoważniała nagle.

— Czy pan czytał Mantegazza, Lombrosa i innych nowoczesnych myślicieli?

Wzruszyłem ramionami.

— To szkoda. Dlatego też z pana [illegible]ter.

[illegible]ziłem się.

— W czemże to pani filisterstwo odkryła?

Zrobiła poważną minkę i, wodząc paluszkiem po czole, rzekła:

— Któż to mówi o małżeństwie na początku XX. stulecia? Małżeństwo to grób miłości!

— Panno Stefanio!

— Tak, nie inaczej. Właśnie, gdybym kochała, nie wyszłabym za mąż. Przenigdy. Pewną jestem, iż nazajutrz po ślubie palnęłabym sobie w łeb, jak to wy potraficie.

— Czemu na Boga?

— Z niesmaku. Z rozpaczy! Jeźli uznaję jaką miłość, to tylko duchową, platoniczną. Związana formułkami, oszalałabym.

— Zkąd pani to przyszło? — pytam zrozpaczony.

Uśmiechnęła się.

— O my teraz o wszystkiem wiemy i rozumujemy, analizujemy rzecz każdą. A pan chciałeś, abyśmy zawsze pozostały niewinnemi myszkami, służącemi do zabawy kotów? Ale pójdźmy na herbatę, bo wystygnie.

Chrapnąłem raz, drugi, trzeci.

Aaa. Więc ja śniłem? To był sen tylko? O chwałaż Ci, Panie Święty!

Wanda Grot-Bęczkowska.

Helena Modrzejewska
na naszej scenie.

(„Walka kobiet“ — komedya przez Scribe i Legouve. „Wiele hałasu o nic“ — komedya W. Szekspira. „Makbet“ — tragedya W. Szekspira.)

Lekka, salonowa komedya Scribego w oczach widzów obecnej doby straciła niemało z swego kolorytu. Niegdyś Scribe jako twórca, dziś zarzuconego szablonu w fakturze i architektonice dramatycznej, posiadał uznanie w świecie literackim, a jako autor płytkich, w osnowie interesujących komedyi zaczerpniętych z sfery arystokratycznej, cieszył się wielkiem powodzeniem na scenach europejskich. Sztuki jego przykrojone do poziomu umysłowego ówczesnych widzów, stanowiących o wzięciu i upadku utworu, podbijały umysły, wydzielając zapach egzotycznych, buduarowych roślin.

Chociaż czas starł z nich wiele barw, wszelako „Walka kobiet“ pojawia się raz po raz na deskach teatralnych, nastręczając wdzięczne pole popisu zarówno dla hrabiny — istnej „trzydziestoletniej kobiety“ Balzaka — jak dla naiwnej, całym wdziękiem młodości owianej Leonii. Dwie te postacie, naszkicowane powierzchownie, ale nader wytwornie, wnoszą na scenę i rozsiewają czarowną woń kobiecości i dzięki temu komedya ta nie przestała być bardzo miłem lubo nie pozostawiającem po sobie głębszego wrażenia spektaklem.

Kreacya hrabiny dla aktorki takiej jak Modrzejewska jest bagatelą, rozrywką, wypoczynkiem niemal w porównaniu z innemi kreacyami, jakiemi wielka nasza artystka olśniła nas w ciągu ubiegłego tygodnia. Dość zaznaczyć, że M. stworzyła niezmiernie sympatyczną i pełną wdzięku damę, swobodną, elegancką w ruchach, płytką w uczuciach. Świetnie bawiła się swą intrygą, swą walką z prefektem o życie ukochanego, a w walce z Leonią o serce rycerskiego kawalera uwydatniła znakomicie zazdrość kobiecą, stonowaną przez niemal matczyne przywiązanie, tak iż zazdrość stała się uczuciem sympatycznem.

Leonią grała panna Zielińska i — ujawniła dobrze swe kwalifikacye do ról naiwnych, wywiązawszy się z swego trudnego zadania z ujmującym wdziękiem, może zbyt dziecięcym. Padając do nóg Henryka i błagając go o przebaczenie nie miała dość szczerego akcentu w głosie, dość swobody w ruchach, lecz usterki te nie raziły i wogóle panna Z. — zdobyła ostrogi.

* * *

Stokroć większe zadanie miała nasza artystka w pięknej komedyi Szekspira „Wiele hałasu o nic“ — tej komedyi lśniącej brylantami iście szekspirowskiej, błyskotliwej swady. Ów t. zw. „humour“ jest nam całkiem obcy; wytworzył go naród ściśle myślący, pielęgnujący sztukę subtelnego myślenia, rozmiłowany w zwrotach ciętych, zgrabnych, a nacechowanych inteligencyą, finezyą i gimnastyką umysłową.

W dzisiejszej epoce pruderyi niejeden też zwrot razi może uszy widzów, bo szekspirowskie sztuki, a zwłaszcza komedye obfitują w trywializmy, stanowiące jednę z cech charakterystycznych dramatopisarzy angielskich w epoce królowej Elżbiety oraz później w epoce odrodzenia i wogóle w literaturze średniowiecznej. Nadto nad romantyczną, awanturniczą fabułą, zaczerpniętą z włoskiej noweli, niejeden pokiwa głową, lecz każdy podziwiać musi prawdziwą fantazyę, z której poeta uplata swe wieńce konceptów, ogromną miąższość i nawał myśli w wierszach.

Aby podnieść i uwydatnić z wysubtelizowaną swadą wszystko, co Szekspir więzi w każdem zdaniu, włożonem w usta Beatryczy — trzeba wytrawnej, inteligentnej, niepośledniej artystki. Modrzejewska dokazała tej sztuki i cała jej kreacya ciętej, uszczypliwej, a w gruncie sercowej,

kobiecej panny nosi piętno głębokich studyów, zrozumienia ducha poezyi szekspirowskiej i wniknięcia w charakter Beatryczy.

Z werwą i komicznem zacięciem potykał się z Beatryczą Benedykt — p. Prochaska. Zaprezentował się on wybornie; widocznie opracował swą rolę starannie i zagrał ją con amore, niemal beznagannie. Podnieść-by można jedynie, że niekiedy mówił zbyt szybko. Szermierka „trefnisia" z ostrojęzyczną panną wypadła niemal koncertowo, ogólny i serdeczny zdobywając poklask. Inni aktorzy jako to pani Sznage, p. Ryszkowski, p. Andruszewski przyłożyli rękę sumiennie do wesołego „hałasu o nic." Ładne dekoracye i kostyumy tudzież tłumy widzów nastrajały naszych aktorów tak, iż wszyscy przyczynili się do harmonijnej całości.

* * *

Sądzę, że jeszcze więcej podobała się Modrzejewska w swej wielkiej kreacyi krwawej lady Makbet. Dysponowana głosowo dobrze uwydatniła głębokimi tonami głosu zarówno jak wyrazem twarzy demoniczny charakter heroiny, piekielną siłę pchającą ją ku zbrodni, dając nam w lady Makbet uosobienie psychopatycznych, zbrodniczych instynktów. Wybornie zaakcentowała artystka chwilę wahania w drugiej scenie aktu drugiego, nim żona Makbeta decyduje się „ubarwić krwią ręce i szaty dwóch pachołków," aby się wydali sprawcami mordu Duncana. W ten sposób uzasadnia artystka późniejszy rozstrój nerwowy bohaterki, który sprawia, iż lady Makbet w sonambulizmie błądzi po pałacu i, trapiona strasznemi widziadłami, usiłuje zetrzeć z swych rąk nieistniejące plamy krwi. Tę świetną okazyę olśnienia widzów, wyzyskała Modrzejewska świetnie, w całym blasku roztaczając przed nami skarby swego aktorskiego geniuszu, swego artyzmu. Klasyczne oblicze z stygmatem męki duchowej — srebrna, piękna w liniach postać, niby wynurzona z głębokiego obłoku snów tragicznych — miękkie, senne giesty rąk podanych naprzód, otrząsających kropli krwi — wszystko to utrwaliło się w pamięci z uchwyconych widzów, którzy wywołując przed oczy duszy cudny, a ponury obraz słyszą chrapliwy oddech śpiącej, rzężenie spowodowane silnym zapachem krwi i słowa szmerem płynące z tajemniczych głębin czarnej, przeżartej męką duszy. Śnieżna postać kobiety, toczonej we śnie przez furye, na tle ciemnej zamkowej sceneryi dwie czarne dodatkowe figury lekarza i służebnicy na uboczu — otóż niezapomniany, poprostu przecudowny obraz, który każe nam chylić głowę przed imieniem twórczyni.

Znakomitego partnera miała Modrzejewska w p. Rygerze, który w tym tragicznym duecie jako Makbet ponownie wyświetlił swą wyborną, fachową znajomość Szekspira, swe świetne warunki sceniczne i wraz z gościem naszym zgotował nam biesiadę artystyczną.

Roman Rola.

KRONIKA.

Już posypaliśmy popiołem głowy nasze na znak, że przypominamy- sobie, iż z prochu powstaliśmy i w proch się obrócimy.

Długim wydawał się ten karnawał, a jak szybko minął! Od kilku dni żyjemy tylko jego wspomnieniami!

Ileż to nadzieji wiązało się do karnawału w młodych główkach. Na balu może spotka się z tym, którego losy jej przeznaczyły!

Iluż to rycerzy — nie w stal i zbroję zakutych, lecz w eleganckim fraku przesunęło się przed oczyma młodej dzieweczki? A ona trwożnie się pytała, czy ten, czy tamten, czy ten trzeci?

Który wogóle z nich?

Lecz oni bawili się, szeptali komplimenty, flirtowali na zabój i odeszli i nie powiedzieli decydującego słowa.

Nadzieje, w młodej głowie powstałe, zblakły; tak zmięte wyglądają, jak toalety po przetańczonym karnawale. Tyle te toalety obiecywały, a dziś, cóż z nich zostało?

Lecz jak toalety odświeżyć można, tak też i nadzieja odżyje w przyszłym karnawale. I tak nadzieje co roku te same, co roku budzą żywsze bicie serc — i albo się spełnią — i ona staje na ślubnym kobiercu z wybranym, albo też wyrzeka się nadzieji i w staropanieństwie pozostaje, żyjąc wspomnieniami pięknych, uroczych dni wiośnianej młodości.

Staropanieństwo dziś jednak już nie tak straszne. Dziś kobieta staje się coraz samodzielniejszą, dziś, choć ją ominie rzeczywiste jej przeznaczenie: to jest wyjście za mąż i macierzyństwo, nie potrzebuje wysiadywać u krewnych jako rezydentka, lecz może sobie zdobyć egzystencyą dla siebie własną pracą. Dla kobiety otwierają się coraz szerzej wrota zawodów, dostępnych dawniej tylko mężczyznom.

Wprawdzie, zdobywszy sobie egzystencyą, musi kobieta mieć dużo siły i hartu, aby nie paść ofiarą mężczyzny, bezwzględnie szukającego łupu, łamiącego kwiaty, aby użyć rozkoszy.

Dziś jeszcze uwodziciel uchodzi w niektórych sferach za bohatera, a tylko na kobietę spada hańba i pokuta nieomal na całe życie.

Ot i jestem tam, gdziem chciał dojść, od myśli karnawałowej, od emancypacyi kobiet, od nadzieji panienek i zmiętych szmatków balowych, doszedłem do pokuty, do postu.

Czas żuru i śledzia — co za kontrasty. — Tu wesołe, tłuste zapustne uczty i zabawy a tam już żurek i śledzik.

Po karnawale czas upamiętania. Wprawdzie znikła już dawna surowość postu. Robimy wyjątki i wyjąteczki. A w zabawach ta tylko różnica, że skreślamy z programu taniec.

Punktem głównym, około którego toczą się rozmowy, to świeże występy pani Modrzejewskiej. Wiem, że wasz krytyk teatralny już zabierał głos i że jego to dziedzina, lecz ja też wiele nie wchodzę mu w drogę, nadmienię tylko skromnie, że widzę i dziś jeszcze w pani *Modrzejewskiej,* artystkę, jakiej równej nie mamy na scenie polskiej, artystkę imponującą klasycznością gry i głębokością pojmowania roli.

To też występy jej cieszyły się niebywałem powodzeniem. Lecz dość o tem, tem bardziej, że istotnie o innych sprawach pomówić także warto.

Właśnie to czas sprawozdań z czynności całorocznych naszych Towarzystw, instytucyi i przedsiębiorstw. Zwracam więc uwagę na znakomity rozwój *Banku Przemysłowców* i na wytężoną pracę *Spółki Rolników Parcelacyjnej.* Wydało też roczne sprawozdanie z swych czynności *Towarzystwo Przemysłowe* w Poznaniu (stary przemysł). Towarzystwo liczy 217 członków i ma spore zasoby pieniężne, bo w gotówce 13,397,17 fen. Z licznych odczytów, które w łonie Towarzystwa urządzano, przebija szczera chęć podniesienia przemysłowości u nas. Z łona tego Towarzystwa wyszła też myśl urządzenia w Poznaniu wystawy przemysłowo-rolniczej. Dotąd oświadczyło się za wystawą 15 Towarzystw.

Alfa.



Dział Kobiecy.



Kobieta w gniewie.

Powszechnie nazywają kobiety „aniołami ziemi.“ Byłoby w tem dużo racyi, gdyby nie jedna mała i drobna okoliczność. Anioły te po większej części mają bardzo bolesne dla mężczyzn pazurki, a ich cudne, niby perły połyskujące, białe ząbki, przemieniają się (czy nie prawda?...) bardzo często w kły krwiożerczej pantery, czy hyeny. Ród męski wtedy drży, blednieje, radby się ukryć w najodleglejszym zakątku. Anioł bowiem ziemi staje się wówczas djabelskim demonem. Historya, jak mówi sejmikujący szlachcic w „Panu Tadeuszu,“ często pisze o tem.

Zaczniemy od Medei, która, gdy Jazon chciał ją puścić w dęty instrument dla Kreuzy, zabija „ogniem“ swą rywalkę, a jej dziecko przebija sztyletem. Brunhilda każe Hugenowi zgładzić Siegfrieda, a Krimhilda mści zbrodnie na własnych braciach Guntherze, Gernocie i Gizelherze. Powie ktoś, że to są podania, wymysły powstałe w krwiożerczej wyobraźni ludu. Cierpliwości, moje panie, przytoczymy za chwilę, jak najbardziej autentyczne przykłady z historyi.

Rozpoczniemy od osławionej Waleryi Messaliny, żony czwartego z rzymskich cezarów, uczonego wielce Klaudyusza. Wyuzdany ten potwór kobiecy, tak, jak ją nam opisuje Juvenal, miał szczególną pasyę rozkochiwać w sobie młodych i pięknych ludzi i pchać ich potem w objęcia niewierności, a to wszystko w tym celu, aby nad zdradzającym i rywalką pastwić się w najokrutniejszy sposób. Wyszukiwać dla swych upatrzonych ofiar najoryginalniejsze tortury lub cierpienia a następnie przeprowadzać je z całą rafinowaną subtelnością, było dla niej szczytem rozkoszy. Potrzebowała tego wprost dla zdrowia!

Darując sobie i inne niewesołe przykłady na poparcie naszej tezy z czasów starożytności, przejdziemy wprost do czasów odrodzenia i reformacyi. Ot weźmy pierwszą z brzegu, tak apoteozowaną przez poetów Maryę Stuart. Osoba piękna, nie pozbawiona strun uczuciowych, nieraz przeciągniętych do niemożliwości, podrażniona przez męża w swej miłości do pięknego Riccia, którego na rozkaz jej męża Darnleya zamordowano, każe tegoż Darnleya udusić w łóżku, a potem zamek wraz ze zwłokami wysadzić w powietrze. Ta zbrodnia była jednak posiewem dalszej zbrodni, którer ramie dosięgło i „smutną królowę.“ Autorką tej zbrodni, swoją drogą nie jedynej, jest angielska Elżbieta, która tron swój osadziła na bagnie zbrodni i skrytobójstw. Straszny ten szatan urządza komedyę sprawiedliwości i każe „smutną królowę“ a swą siostrę rodzoną, Maryę Stuart, płatnym sędziom zausznikom na śmierć skazać, poczem wyrok ten z całą bezwzględnością wykonuje.

Francya ma swoją Katarzynę Medycejską. Niejeden, kto się wzdryga na samo wspomnienie rzezi, nazwanej pobożnie „nocą świętego Bartłomieja,“ pewnie nie wie, że jej głównym powodem jest nic innego, jak tylko zemsta osobista Katarzyny de Medici, która w ten sposób usunęła admirała hugonotę Coligni'ego. Admirał zbyt opanował słabym Karolem IX ze szkodą dla niej, więc go się postanowiła pozbyć, choćby kosztem tysiąca niewinnych ofiar.

Wielce interesującą jest historya Krystyny szwedzkiej, godnej córki Gustawa Adolfa. Zrzekłszy się swych praw do tronu, bawiła we Francyi w Fontainebleau. Kazała ona swego nadwornego koniuszego najpospoliciej zakłuć za to, iż publicznie się chełpił, że go zaszczyca daleko idącemi względami miłosnemi. Równie romantyczną jest historya Adryanny Lecouvreur, którą jej rywalka w miłości ku Maurycemu Saskiemu, księżna de Bouillon, otruła podstepnie.

Wszystko to jednak blednie wobec tego, co wyrabiały rozwydrzone kobiety w czasie wielkiej rewolucyi, te kobiety, które towarzyszyły Ludwikowi XVII i Maryi Antoninie na szafot, które teroryzowały posiedzenia konwentu i pomagały katowi przy gilotynie, gdy się zmęczył. Parę tylko przytoczyliśmy przykładów z historyi, ale też za to... dosadnych.

A nasze czasy współczesne? Dość przeglądnąć sprawozdania z izby sądowej. Ile przejmujących, wprost strasznych historyj. Zacietrzewienie i gniew śmiertelny i nienawiść niepohamowana kobiet, zapisują się tam codziennie niemal krwawemi zgłoskami.

Nie sposób byłoby ich wyliczyć i nawet się na to nie silimy.

Ogółem biorąc niewiasty nie zawsze są aniołami. Mają one swój czas „rozanielenia,“ tak jak kwiaty, gdy je kwiecie okryje, lecz wkrótce korona kwiatu opada i zostaje zielsko, najeżone tak często kolcami. — Kończąc, przyznajemy, że można w ten sam sposób napisać równie zajmujący artykuł o „mężczyznach w gniewie“ i naszpikować go przykładami drastycznemi z historyi, ale zawsze to nie to samo będzie. Mężczyźnie jakoś nieraz do twarzy ze zmarszczonem czołem i iskrami gniewu w oczach — kobieta zaś, gdy się gniewa, zawsze prawie przeradza się w demona nienawiści, grzeczniej mówiąc, w dyabełka z pazurkami.

D. Z.

Północne kobiety.

Szwedki różnią się znacznie od kobiet norweskich, tak pod względem wyglądu zewnętrznego i charakteru, jak też pod względem trybu życia. Szwedki są to po większej części wysokie i zgrabne blondynki, podobne do Angielek, a w ubraniu nieskończenie skromne. Szwedka odznacza sie wszędzie prostotą, połączoną z szykiem i elegancyą. Mieszkanka Norwegii jest natomiast niższą, mniej szczupłą, a w całej jej istocie leży odcień zalotności. Wejrzenie Szwedki jest chłodne i twarde, jak gdyby te wyniosłe kobiety nie miały już żadnych iluzyj, ale same matematycznie określone cele, do których bezwzględnie dążą. W oczach ich błyszczy trochę złośliwej ironii, której nie mają Norweżanki.

Z.

Jeszcze wciąż można zapisywać

„PRACĘ"

na miesiąc marzec.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na miesiąc marzec

tylko 42 fen.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę z *Poznania*.

Baczność!

W numerze 5-tym rozpoczęliśmy druk powieści Henryka Sienkiewicza p. t.

Selim Mirza,

osnutej na tle wojny francuzko-pruskiej, poczem rozpoczniemy druk opowieści patryotycznej Sewera, osnutej na tle prawdziwego zdarzenia w zaborze rosyjskim p. t.

Do swoich.

Początek powieści

Selim Mirza

otrzyma każdy nowo przybyły abonent gratis, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit pocztowy abonamentowy.

Każdy ze starych abonentów, który zjedna nowego abonenta, otrzyma jako

premium

piękną książkę powieściową, jeżeli nam nadeśle na dowód własny kwit abonamentowy pocztowy, oraz kwit zjednanego abonenta.

Jeszcze wciąż można zapisywać

„Czytelnię Polską"

na nowy rok i kwartał.

gdyż każda poczta jest zobowiązana dostarczyć nowym abonentom zaległe zeszyty z bieżącego kwartału.

„CZYTELNIA POLSKA" zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1902 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13."

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ" wynosi kwartalnie

60 fen.

W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech

97 hal.

Pod opaską: kwartalnie 1,10 mk., czyli 1 koronę 23 hal.

Wiadomości.

— Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY."

— **Wieś szlachecką Kaspral** pod Kruszwicą ca. 800 mórg kujawskiej ziemi, który to majątek co dopiero z rąk niemieckich wykupił Dom bankowo-komisowy *Drwęski & Langner w Poznaniu* w celu rozparcelowania, — sprzedała rzeczona firma już dalej i to w całości. Nowym nabywcą Kasprala jest pan Józef Powałowski z sąsiednich Chełmc. Nowemu nabywcy szczęść Boże!

— **Na Czytelnie ludowe** odebraliśmy od Towarzystwa Młodych Przemysłowców w Dreźnie 4 mrk.

— **Dla 90-letniego weterana**, Belwederczyka Maksymiliana Kosińskiego, otrzymaliśmy od Towarzystwa Młodych Przemysłowców w Dreźnie 3 mrk., na zaręczynach pp. Fr. Wosieka i J. Żurkiewiczówwnej zebrane w Bochum dnia 15 lutego r. b. 7 m. Razem zebraliśmy na ten cel 61 m. 25 fen.

— **Na szklarnią**, połączoną z pracownią oprawy obrazów i handlem artykułów dewocyjnych, nowo otwartą przy ulicy Półwiejskiej nr. 11 pod firmą: „St. Walkowski i Sp." zwracamy baczną uwagę Szanownej Publiczności.

— **Wieczornica** Towarzystwa Młodzieży Polsko-katolickiej pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Poznaniu, urządzona w zeszłą niedzielę na wielkiej sali Lamberta, miała wielkie powodzenie. Tak przedstawienie amatorskie, jak też śpiewy, deklamacye, monologi itd., wogóle cały obfity i doborowy program wykonano ku ogólnemu zadowoleniu bardzo licznie zebranej publiczności, która grę amatorów oraz wszelkie ich produkcye oklaskiwała hucznie. Po wieczornicy tańczono ochoczo do wczesnego rana.

— **Lubcz pod Rogowem.** Na odbudowanie spalonego kościoła w Lubczu złożyli w dalszym ciągu: Ks. prob. Śmigielski z Runowa od siebie 18 m. z ofiar w kościele zebranych 27 m. 23 fen. z Runowa: M. Affelt, A. Grochowski po 3 m. Jarząb, M. Marchel, Patina, A. Parelski, E. Fischer, M. Parelski po 2 m. Wojda, Fetykowski, Budzik, Sobczyk, Żurek po 1 m. Droese, Krause, M. Fischer po 50 fen. p. J. Jasiński w Mieścisku od Tow. Przemysł. 10 m. M. Górny z Gniezna 15 m. Stefański z Smielina 5 m. J. Łukowski z Marcinkowa doln. 3 m F. Jagodziński z Pyszczyna 1 m. 50 fen. M. Stachel z Męcierzyna 3 m. T. Skalska z Kostrzyna 3. N. N. z Gałęzewa 6 m. Z Szaractwa: Gólczewscy 10 m. Daszyńska 6 m. A. Jams z Gałęzewa 2 m. St. Basiński z Biskupca 6 m. F. Mnichowski z Gąsawy 3 m. J. Paterka na weselu zebrane 11 m. p. Ł. Mąke z Gniezna od N. N. 10 m. M. Głowiński z Obornik 7 m. M Perdziak z Dachowa 5 m. Za pośrednictwem „Przewodnika Katolickiego" w Poznaniu 160 m. Ks. prob. Sobecki z Słupów 20 m. p. F. Kowalik z Gąsawy 30 m. Marya Szumlańska z Kątna 3 m.

Składając serdeczne „Bóg zapłać!", proszę o dalszą pamięć łaskawą

X. Czerwiński.
Lubcz p. Rogowo.

— **Rawicz.** Na kościół w Rawiczu złożyli w dalszym ciągu: Ks. Jankiewicz ze Słupi 7 m. 20 fen. S. Fränkel z Nowego Miasta (G. S.) 25 m. Ks. kanonik Kretschmer 10 m. Ks. Mariaszek 3 m. P. Pawelczak z Ponieca 3 m. Książę Z. Czartoryski 3 m. Hrabia Czarnecki 15 m. Telesfor Otmianowski z Poznania 3 m. 5 f. Ks. prob Szudziński 7 m. 55 f. Wik. Gierszał z Choryni 40, 30 f.

Wszystkim dobrodziejom naszego biednego kościoła serdeczne Bóg zapłać.

Ks. P. Dams.

Zmarli.

† *S. p. Antoni Sioda*, profesor przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny dnia 20 b. m. w Poznaniu przeżywszy 57 lat.

† *S. p. ksiądz Wincenty Głębocki*, nauczyciel wyższy przy gimnazyum w Ostrowie, dnia 22 z. m.

† *S. p. Witold Szczepkowski*, uczeń gimnazyum ostrowskiego, dnia 18 b. m.

† *S. p. Stanisław Drożdżewski*, mistrz rzeźnicki, kapitan Bractwa kurkowego w Poznaniu, dnia 21 z. m. licząc 61 lat.

Wiadomości literackie.

— **„Quo vadis."** Pod tym tytułem wychodzić zacznie od kwietnia r. b. w Poznaniu czasopismo miesięczne dla spraw społecznych i ekonomicznych pod redakcyą p. T. Świniarskiego w Wągrówcu. Słowo wstępne od Redakcyi brzmi jak następuje:

„Stosunki na kresach wschodnich stają się wręcz niemożliwe. Pod hasłem: Walka niemczyzny z polskością zamącają ludzie niskiego charakteru wodę życia społecznego, łowią w niej ryby i starają się takową coraz bardziej zamącać, aby ten połów z czasem się powiększał. Tym niezdrowym stosunkom należy kres położyć. Obowiązkiem każdego rozsądnego człowieka dobrej woli jest łagodzić sprzeczności niezaostrzać różnic. Szczególniej upraw'

nioną i powołaną do tego jest prasa. Prasa to wyraz uczuć ludności, to głos sumienia społecznego. Takich głosów rozumnie nawołujących nigdy nie jest za wiele. Dlatego należy się prasie swoboda i wolność słowa.

„Wprawdzie wiele materyału traktowanego przez prasę podlega wpływom stronniczym i przez to pozbawionym zostaje podstawy jasnej logiki i sprawiedliwości; lecz zawsze przez otwarte dyskusye prasowe ułatwia się pożycie społeczne. Napływ zasad zdań, myśli i uczuć, który duszony w sobie, nieprzedyskutowany, nie wypowiedziany groziłby eksplozyą niezadowolenia, znajduje przez dyskusye prasowe należyty i naturalny upust, działa kształcąco na sfery i pobudza krytyczność myśli i jasność poglądu społeczeństwa. Prasa ułatwia i rządowi zadanie, gdyż każde niezadowolenie, każde życzenie społeczne dając otwarty wyraz w prasie doznaje ulgi; jeżeli jest nieuprawnione ginie i zamiera samo przez się w skutek braku argumentacyi, jeżeli zaś uprawnione z wybitnem prawem bytu, to bezustannie wznawiane i krytycznie przedyskutowane znajduje ostatecznie w miarodawczych sferach uwzględnienie.

„Społeczeństwo współczesne nie powinno bez powodu i bez celu utrudniać sobie wzajemnego pożycia. Życie nasze jest krótkie, płynąć powinno na podstawie spokojnej produktywnej pracy i miłości bliźniego przez Chrystusa wskazanej. Kto temu przeszkadza, kto zakłóca bez celu lub w brzydkim celu spokój pracy lub zgodę społeczną, ten popełnia grzech przeciw przyrodzeniu. Taka brzydka walka wre tu na kresach wschodnich. Bezstronny krytyk patrząc na to walczące społeczeństwo zapytać musi: dokąd to idziesz, dokąd ty zmierzasz w tej walce niechrześcijańskiej?

„A więc „*Quo vadis*“ zapytać musi.

„To pytanie to tytuł naszego wydawnictwa, które w poszytach miesięcznych od kwietnia rb. wychodzić będzie. Czasopismo „*Quo vadis*“ z dewizą: „Justitia est fundamentum regnorum“ pracować będzie absolutnie *bezstronnie*.

„Wydawnictwu temu chodzić będzie głównie o naprawę i załagodzenie naprężonych niezdrowo stosunków na tutejszych wschodnich kresach. Zadanie to niełatwe. Zielsko smutnej i wstrętnej niezgody zapuściło korzenie w łonie społeczeństwa kresowego bardzo głęboko. Zielska siać i pielęgnować nie potrzeba, rośnie ono samo przez się; a to, o którem mowa, siane i pielęgnowane przez ogrodników administracyjnych, podsycane mierzwą złota, wydaje już wstrętne owoce w brudnej zwierzęcej walce.

„Czasopismo „*Quo vadis*“ świadome trudności, lecz idąc z hasłem: „*Zgoda buduje, niezgoda rujnuje*“ z energią i jasnym celem dążności do szlachetnej, rozumnej i honorowej zgody uwydatniać będzie zalety, cnoty i dobre chęci obydwóch sprzecznych walczących obozów, a publikować i gromić swawole i rozmyślne błędy takowych. — Każda korespondencya rozsądna, każde użalenie się słuszne, każdy ważniejszy fakt znajdzie uwzględnienie publiczne, otwarte i szczere przedyskutowanie. Oprócz dążności polityczno-społecznych zawierać będzie „*Quo vadis*“ dział ekonomiczny dla handlu, przemysłu i rolnictwa. Cena abonamentowa ustanowiona nie wysoko, aby uczynić „*Quo vadis*“ warstwom i mniej zamożnym dostępnem. *Na wszystkich pocztach kwartalnie 1,40 mrk. W księgarniach rocznie 5,00 mk.*“

Od Redakcyi.

Dwom Paniom z „Czytelni Kobiet“, które nadesłały do naszej redakcyi pismo wyłuszczające powody, dla jakich wystąpiły z „Czytelni“, odpowiadamy:

Ponieważ „Praca“ nie przedrukowała broszury pani J. Gulińskiej, ani nie podawała jej treści, ani wreszcie nie zajmowała się nią, nie może ogłaszać repliki na nią. Zresztą kwestye, o ile broszura wzmiankowana mija się w szczegółach z prawdą, jakie panie wystąpiły z Czytelni i z jakich powodów — są pozbawione publicznego znaczenia, jako kwestye *czysto wewnętrzne* Czytelni. Zwłaszcza „Praca,“ która usunąwszy na bok interiora Czytelni dotknęła tylko strony zasadniczej tej sprawy — nie widzi wcale powodu do zamieszczania nadesłanego pisma.

Zresztą pohopności Pań do wykreślenia się z listy członków Czytelni nie możemy wcale zrozumieć. Jeżeli chodzi Paniom nie o głośne zareklamowanie się w oczach zwolenników ostracyzmu socyalistki, lecz tylko o wykluczenie tejże z Czytelni — należało pozostać w Czytelni, by powiększyć liczbę głosów, które padną przy głosowaniu za zmianą statutów czyli wykreśleniem pani Gulińskiej. Byłoby to jedynie racyonalnem postępowaniem *z punktu widzenia Pań*. Zamiast tak postąpić, Panie obrały drogę arcywygodną i wdzięczną: usunęły się z Czytelni z wielką ostentacyjnością, zyskując tani poklask płytko myślących zwolenników ostracyzmu za swe bohaterskie... rejterowanie, przez które oczywiście nie przysłużyły się swej sprawie, lecz... sprawie pani Gulińskiej.

Panu Z. R. w Pętkowie. — Jeżeli droga na granicy jest tylko prywatną drogą, natenczas są obowiązani właściciele, przez których grunta ta droga prywatna prowadzi, koszta reparacyi ponosić, jeżeli zaś droga ta jest publiczną, natenczas obowiązaną jest cała gmina drogę tę reparować. — Jeżeli Pan myślisz, że niesłusznie od Pana ściągnięto 15 mr. na reparacyą drogi, możesz Pan się użalić przeciw rozporządzeniu komisarza obwodowego na mocy prawa z dnia 11. lipca 1891 r.

Panu P. K. 100, — Jeżeli Pan chcesz otrzymać schedę swoją po ojcu, winieneś Pan stawić wniosek do sądu o podział majątku. — Jeżeli matka żyła w wspólnym majątku z ojcem, to bierze połowę pozostałego majątku a drugą połowę bierze pięcorgo dzieci. Na Pana więc przypada dziesiąta część całego majątku.

Pani T. Kam... — Pan Wyrybkowski, właściciel drogeryi w Kościanie, wskaże Pani adres.

Panu E. T, N. w Pleszewie. — Wiadoma gazeta w wydawnictwie „Pracy“ już nie wychodzi od marca r. z. Co do „Szkółki Domowej“ poinformuje Pana biuro Réclame w Poznaniu, na Piekarach.

Panu Janowi B. w R. (G. S). — Życzeniu Szanownego Pana choć nie na razie, zadość uczynimy. Powieść „Męczennica w koronie“ wyjdzie w osobnej odbitce. Co do projektowanej okładki do „Czytelni Polkiej“ to sprawę tę jeszcze rozważymy.

Panu W. Chudzickiemu w Wrocławiu. — Sprawozdania nie otrzymaliśmy, widocznie list zaginął, co się u nas częściej przytrafia. Prosimy o łaskawe ponowne nadesłanie wiadomego sprawozdania, a najchętniej zamieścimy.

Panu Wit. J. w W. — Wiersza nadesłanego ze względów prasowych nie możemy zamieścić.

Panu Michałowi Sk. w Essen. — Opóźnienie rzeczywiście nastąpiło. Powód podaliśmy w num. 8-ym „Pracy“.

Stefci Śl. — Wiersze nadesłane nie nadają się do „Pracy“.

Panu Józefowi M. w Gertraudenhütte. — Adres taki: „Redakcya „Djabła“ w Krakowie — Galicya“ wystarczy.

Tow. Pań Miłosierdzia św. Wincentego w Nakle. — Notatka o zeszłoniedzielnem przedstawieniu amatorskiem doszła nas już po wydrukowaniu nr. 8-go „Pracy“, dlatego umieścić nie mogliśmy.

Panu Fr. L. w Sulmirzycach. — Pan nadleśniczy Skoroczewski w Miłosławiu poinformuje Pana w tej sprawie najlepiej.

HUMORYSTYKA.

Między małżonkami posłów.

— Co do mnie, zawsze załatwiam znaczne sprawunki podczas rozpraw nad budżetem państwowym.

— I dla czegóż to, moja droga?

— Mój mąż jest wówczas przyzwyczajony do tak wielkich liczb, że moje rachunki przechodzą niepostrzeżenie.

Nasze dzieci...........

Ojciec (czytając):

— Księżnie Iks udzielono własny pułk gwardyi.

Córka:

— A cóż księżna pocznie z tyloma porucznikami?

Podejrzliwa.

— Czy pójdziesz za mną, moja najdroższa, na koniec świata?

— Ależ jedyny mój, czybyś był defraudantem?

Na ulicy.

— Czy mogę pani służyć parasolem?

— Wszak pan widzisz, że jestem zaopatrzona!

— Nic nie szkodzi, to może pani swój zamknąć.

FABRYKA

papierosów i tureckich tytuni

„VULCAN“

I. F J Komendziński w Dreźnie

zwraca Szanowny Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych odnośnych handlach są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wysyła, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i odstawia lepszy towar.

Selim Mirza.

Napisał *Henryk Sienkiewicz.*

5)

(Ciąg dalszy.)

— Selim — powtórzyłem głośniej.

W odpowiedzi zachrapał tylko Marx.

Tymczasem łuna stała się jaśniejszą. Przy jej czerwonym blasku spojrzałem na posłanie Selima: było puste. Sądziłem, że wyszedł posłuchać, jak idzie bitwa i, wziąwszy karabin, wyszedłem także do ogrodu.

Księżyc świecił jasno. Promienie jego, zmieszane z odblaskami łuny, zalewały ogród jakiemś tajemniczem pół-białem pół-czerwonem światłem. Liście na drzewach szemrały cicho, mieniąc się srebrem i miedzią; długie czarne cienie kładły się na ziemię. Ale w ogrodzie było spokojnie. Okna szaletu pozostały ciemne. Znać, tu już ludzie przywykli do odgłosów bitew i łun pożarów.

Wszystko to było jakieś tajemnicze i uroczyste. Z jednej strony melancholia i spokój uśpionego ogrodu, a tam blaski krwawe, w dali bitwa, pożar i wrzawa, podobna do szumu morza.

Byłem tak przyzwyczajony do ciągłego czajenia się od czasu wyjazdu z Paryża, że i teraz mimowoli szedłem, jakbym się zbliżał pod pruską placówkę.

Nagle ujrzałem Mirzę i stanąłem, jak wryty.

Na ławce, w cieniu krzewów, siedziała panna La Grange, a przed nią klęczał Mirza i pokrywał pocałunkami jej ręce.

Świeciły im księżyc i łuna.

— Jedyna moja, jedyna moja! — szeptał namiętnie Mirza.

— Czy mi przebaczasz? — dodał po chwili.

Szmer jego słów i pocałunków zagłuszały coraz bliższe strzały rotowe.

Usłyszałem jednak jeszcze oderwany frazes.

— Umyślnie tu przybyłem...

W ogrodzie stawało się coraz czerwieniej. Światło księżyca bladło i mdlało, ale kochankowie zdawali się nie słyszeć i nie widzieć nic.

Pomyślałem jednak, że bitwa może zawadzić o La Mare i że bezpieczeństwo wymaga, abyśmy się mieli na baczności. Cofnąłem się więc za gęstwiną i począłem gwizdać zcicha umówiony między nami sygnał.

Umilkł, a po chwili porwał mnie za ramiona.

Był to sygnał znany nam od dawna. Nuta jego znaczy nawoływanie: „dzieci zbierajcie się etc.!“

Jakoż natychmiast zaszeleściały liście, a po chwili ukazał się Mirza ze świecącemi oczyma i rumieńcami na twarzy, drżący ze wzruszenia.

— Co tam? — spytał.

— Biją się.

— To daleko. Nie nadużywaj sygnału, bo mnie wprowadzasz w błąd. Sygnał znaczy: niebezpieczeństwo tuż.

— Czym ci w czem przeszkodził?

Mirza zatrzymał się nagle.

— Ty widziałeś wszystko?

— Tak.

Umilkł, a po chwili porwał mnie za ramiona.

— To dobrze! — rzekł. — Chodźmy do kwatery, mam z tobą pomówić o wielu rzeczach! Nie zaśniesz przecie teraz?

— Nie zasnę.

Wróciliśmy. Ja położyłem się znowu na materacu, Mirza zaś siadł na swoim i zaczął mówić:

— Może pomyślisz sobie, że postąpiłem jak egoista, ale sądziłem, że ci wszystko jedno, gdzie się masz bić. Mnie się zawsze przytem wszystko wiodło, tobie nie, dlatego myślałem także, że, wiążąc los twój z moim, wiążę cię z mojem szczęściem. Ale to się może zmienić. Ja przedsięwziąłem sprawy dość niebezpieczne. Teraz ci je opowiem. Jeżeli zechcesz, to się cofniesz. Jeszcze czas. Powiedz mi jednak naprzód, czy bezwarunkowo byłbyś poszedł na wojnę?

— Tak.

— To dobrze, zatem nie ja cię pociągnąłem?

— Nie ty.

— Teraz słuchaj. W Paryżu, jeszcze przed wojną, poznałem Lidyę La Grange, i zakochałem się w niej. Ona była mi wzajemną. Ale potem zerwało się wszystko, i wiesz, kto był tego powodem?

— Nie wiem.

— La Rochenoire.

— La Rochenoire?

— Tak. Szczegółów nie mam czasu ci opowiadać. La Rochenoire zakochał się w niej także, ale był powszechnie nielubiony, goły przy swoim tytule i zawsze miał złą opinię, wziąłem więc nad nim górę z łatwością. Wówczas wyzwał mnie. Strzelaliśmy się na pistolety. Trzy razy brałem na cel jego czerep i trzy razy darowałem mu życie. On nie umie strzelać. Mogłem go zabić i głupstwo zrobiłem, żem nie zabił, bo on potem nie przestał się mścić. Ja, widzisz, kochałem się zawsze na wszystkie strony i nieraz, zawiązawszy nowe stosunki, nie umiałem zerwać dawnych. Tak było wtedy. Na rok przed poznaniem Lidyi, poznałem w Jockey-klubie młodego porucznika marynarki, nazwiskiem Marillac, który od razu dziwną powziął ku mnie sympatyę. Był to dzielny, młody chłopak, odważny, honorowy, słowem — prawdziwy rycerz, jakich mało. Po kilku tygodniach wprowadził mnie do siebie i ofiarował swą przyjaźń, a ja — niech mi Bóg przebaczy! — począłem bałamucić jego młodą i śliczną żonę. U nas uważa się to za zbrodnię, ale w Paryżu to rzecz zwyczajna. Byłem nie lepszy, niż moje otoczenie. Swoją drogą, ciążyło mi to strasznie. Męża często nie bywało w domu, ale, gdy przyjechał musiałem udawać dla niego przyjaźń, co było nad moje siły, bo brzydziłem się sam sobą. Poznawszy Lidyę, chciałem zerwać z przeszłością, nie dlatego, żeby uczucie dla Lidyi było poważne, bo stało się takiem dopiero później, ale dlatego, że nie umiem być obłudnikiem. Sądziłem, że zerwanie łatwo pójdzie. Omyliłem się. Pani Marillac wiedziała o nowej mojej miłości dla Lidyi i, wiedziona zazdrością i zemstą, porozumiała się z La Rochenoirem. On nie umie nic przebaczać, i nie cofał się nigdy przed niczem, dlatego chwycił się pierwszej sposobności, żeby zerwać moje stosunki z Lidyą i zarazem zemścić się nademną. Opowiedział, że kocham tamtą. Nie chciała wierzyć, trzeba jej było dowodów. Wówczas odebrałem list od Marillacowej, wzywający mnie na ostatnią niby schadzkę. Odpisałem: „nie pójdę“. Wtedy odebrałem drugi list, w którym były tylko te słowa: „Wiesz, że mąż mój przyjechał i boisz się go!“ Tego było dosyć. Poszedłem.

Była to zasadzka. La Rochenoire miał sprowadzić Lidyę i pokazać jej naocznie moje wiarołomstwo. Ale nie wystarczało mu to jeszcze. Nikczemnik, przez zemstę nademną, nie wahał się poświęcić i swojej wspólniczki, dał więc znać o schadzce, nietylko Lidyi, ale i Marillacowi. Spodziewał się, że Marillac mnie wyzwie i zabije, był to bowiem najsławniejszy fechtmistrz we Francyi, z którym nikt nie chciał przyjmować pojedynków. Katastrofa nastąpiła. Musiałeś o niej słyszeć, bo cały Paryż nie mówił o niczem innem. Postanowiłem dać się zabić Marillacowi, ale gdym zobaczył krew, rozbudziła się we mnie moja nieszczęsna natura i wbiłem mu szpadę w piersi po samą rękojeść. Jeszcze dziś słyszę, jak ostrze jej zgrzytnęło o jego kość pacierzową.

Mirza wzdrygnął się. Twarz jego była blada, oczy zgorączkowane, w rysach malowała się boleść, ale zarazem i głucha, złowroga zaciętość.

Zakrył twarz rękoma i umilkł. Przez chwilę słyszałem wystrzały zbliżającej się bitwy.

— Mów dalej, bo nie będzie czasu — rzekłem.

— Co potem nastąpiło — mówił — łatwo zrozumieć. Lidya pokazała mi drzwi, wtedy zacząłem kochać ją naprawdę. Byłbym się strasznie pomścił na La Rochenoirze, ale nie wiedziałem, jaką odegrał rolę. Zresztą, natychmiast po katastrofie, odebrał rozkaz udania się do Marsylii, bo on także był wówczas porucznikiem marynarki. Przed wyjazdem oświadczył się Lidyi, która w chwili rozpaczy i zwąt-

pienia przyjęła go. Ja zacząłem prowadzić życie szalone, traciłem mnóstwo pieniędzy. Byłem wodzem Jockey-klubu. Oni mieli mnie za bohatera, ja sam siebie za nikczemnika. Cierpiałem strasznie. Kochałem przytem coraz więcej Lidyę i to czyniło mnie jeszcze nieszczęśliwszym.

— Jak się dowiedziałeś o La Rochenoirze?

— Prowadząc życie szalone, spotkałem tamtą kobietę. Spadła bardzo nizko, ale ja starałem się ją podnieść. Nie było zresztą już czasu na to, bo chorowała na suchoty. Jakoż umarła wkrótce, ale przed śmiercią wyznała mi wszystko. Przysiągłem wtedy, że pomszczę się na La Rochenoirze. I niech mi Bóg tak dopomoże, jak byłbym to natychmiaet uczynił, gdyby nie to, że zaraz potem wybuchła wojna.

— Zdawało mi się — mówił dalej — że La Rochenoire przepadł w jej odmęcie i modliłem się do chrześcijańskiego Boga i do mego głupiego Mahometa, aby go ocalił i zachował dla mnie. Wkrótce też jego nazwisko wypłynęło z odmętu, otoczone tą złowrogą sławą, która uczyniła go jednym z najgłośniejszych partyzantów. Wówczas pomyślałem: nadszedł czas!

— Co myślisz uczynić?

Mirza drżącemi rękoma oderwał podszewkę swego żołnierskiego kepi i, wyjąwszy z pod niej jakiś papier, podał mi go, mówiąc:

— Czytaj.

Przy blasku coraz rosnącej łuny począłem czytać i zdawało mi się, że śpię, a to wszystko, co widzę, to tylko sen dziwny, który zniknie nad ranem.

Karta, którą trzymałem w ręku, była to ni mniej, ni więcej, jak tylko nominacya Selima Mirzy na dowódzcę oddziału, La Rochenoira, oraz rozkaz oddania pod sąd wojenny tegoż La Rochenoira i postąpienia z nim podług wyroku.

W milczeniu oddałem papier Mirze.

On tymczasem zbliżył się do mnie. Na twarzy jego znowu pojawił się ów ostry wyraz, nadający rysom jakiś odcień czysto wschodniego okrucieństwa.

— Przysięgam na tę noc, na ten pożar, na tych, co tam konają teraz, że każę go roztrzelać bez litości.

Potem otworzył nagle okno. Widać, potrzebował odetchnąć świeżem powietrzem.

Ale ja nie rozumiałem, co znaczy ta nominacya, więc rzekłem:

— Wytłumacz mi to.

Chwilę jeszcze chodził w milczeniu.

— Dziwi cię nominacya i rozkaz oddania pod sąd dowódcy, który bez wytchnienia bije Niemców? — rzekł wreszcie. — Ale ma to swoje powody. Temu człowiekowi zdaje się, że teraz, gdy stoi na czele oddziału, niema już nikogo nad nim. Jest arystokratą. Żołnierze jego w boju krzyczą, jakby za Ludwika XIV, *„vive le roi!“* On służy nie rzeczypospolitej, ale Henrykowi V-mu. Przytem pan margrabia postępuje z ludźmi trochę zdyt bez ceremonii. W wiosce Branche Verte kazał rozstrzelać mera, w Agneaux kazał powiesić dwóch wieśniaków, wioskę Marie kazał spalić dlatego, że mu odmówiła żywności. Gdy Chauzy przysłał kuryera z rozkazem, kazał kuryera oćwiczyć i odpowiedział Chauzemu grubiańśtwem. Za to jedno już śmierć. On chce być panem na czele swojego oddziału. Prowadzi wojnę na własną rękę, a to nie uchodzi. Och! dyktator miał aż nadto dosyć powodów. Zaocznie złożono go z dowództwa; gdy jednak zawakowało, nikt się go nie chciał podjąć, dopóki ja nie dowiedziałem się o tem.

Dowiedziawszy się, przedstawiłem swoje kwalifikacye, a ponieważ dyktator znał je, zarówno jak i mnie, jeszcze z Jockey-klubu, zatem zostałem mianowany z łatwością. Ostrzeżono mnie tylko, że La Rochenoire, nie mając wiele do stracenia, a mając po sobie żołnierzy, każe z pewnością rozstrzelać tego, kto przyjdzie z nominacyą.

— Jakto? czy rząd nie ma siły go zrzucić?

— Rząd siłę ma; mógłby go otoczyć wojskiem i zgnieść. Ale dyktatorowi chodzi o to, coby powiedział kraj. Imię La Rochenoira zyskało popularność, stoczył on już ze czterdzieści potyczek, prawie zawsze zwycięzkich. Kazano mi więc działać powolnie, co mi się zresztą nie podoba. Póty szczędzić będę La Rochenoira, póki ma za sobą żołnierzy, ale on już i żołnierzom ciąży niezmiernie. On i dla nich również okrutny. Nominacyi nie mam pokazywać natychmiast, dopiero po zjednaniu sobie żołnierzy. Gdyby jednak La Rochenoire wydał rozkaz, aby mnie rozstrzelać natychmiast, wówczas palnę mu w łeb i pokażę nominacyę. Ale wątpię, czy do tego przyjdzie. La Rochenoire wie, że byłem w dobrych stosunkach z dzisiajszym dyktatorem. Rozstrzelać mnie, znaczyłoby spalić za sobą mosty zupełnie, a tego on sobie nie może życzyć. Zresztą, zobaczymy. Prawdopodobnie, nie przyjdzie do ostateczności. Rząd sobie jej nie życzy. La Rochenoire nie wie o niczem. Tak rzeczy stoją. Teraz ty powiedz swoje zdanie.

— Moje zdanie jest, że lepiejbyś zrobił, gdybyś mi od razu wszystko wyznał.

— Złem zrobił, ale bałem się, że mnie będziesz odmawiał od przedsięwzięcia.

— I dla tego wciągnąłeś mnie w nie?

— Masz się czas cofnąć. Mówiłeś, że wszystko jedno, gdzie się bić. Niedaleko krąży oddział Corbeau. Możesz się tam zaciągnąć. Wyrobiłem na wszelki wypadek dla ciebie nominacyę.

— Słuchaj! — rzekłem wówczas żywo. — Chcesz się mścić, to się mścij, ale mi się droga twoja nie podoba. Rozumiałbym, gdybyś przyjechał i poprostu palnął w łeb La Rochenoirowi, ale ty chcesz i musisz zyskać pierwej jego zaufanie, a potem zdradzić je.

— Nie ja tę drogę wybrałem. Takie są instrukcye, których muszę słuchać, a podjąłem się je wykonać dlatego, że zabić go poprostu, to mało dla mnie. Ja go muszę wprzód strasznie upokorzyć. Mniejsza o to, czy to pięknie czy nie. Ja jestem tatar. Ja chcę zemsty.

I istotnie podobny był w tej chwili do tatara.

— Pomyśleć, co on mi zrobił! pomyśleć, że Lidya jest jego narzeczoną!...

I począł wyłamywać ręce, aż stawy palców trzeszczały głośno.

Po chwili rzekł:

— A zatem idziesz ze mną, czy nie?

— Idę. Jeżeli rzecz zaraz się rozstrzygnie, gotów jestem ci pomagać, ale, jeśli powoli, nie chcę się wdawać w grę.

— Bo i nie potrzebujesz. Zatem dobrze. Dziękuję ci.

Uścisnął moją rękę.

— W każdym razie — mówił — nie pójdziemy razem do obozu, aby nie ściągnąć podejrzeń. Ja muszę tam być pierwej. Następnie, przyjedziecie ty i Marx. Będziemy udawali, że się nie znamy. To was na wszelki wypadek zasłoni przed jego zemstą.

Nie chciałem się zgodzić na to, ale Mirza mówił, że nie godzi się nam wciągać w przedsięwzięcie Bogu ducha winnego Marxa. Uległem.

— Kiedyż pójdziesz? — pytałem.

— Jak tylko rozednieje. Wy zostańcie tutaj przez parę dni.

Potem uchwycił znów moją rękę.

— Bądź dobry dla Lidyi. Ja ją kocham, bardzo kocham. Współczuj mi chociaż w tem. Ona zasługuje na twoją przyjaźń... więcej, niż ja. Wycierpiała dużo, bo nigdy nie przestawała mnie kochać. Teraz wyjaśniło się wszystko.

I objąwszy mnie za szyję, położył głowę na moich piersiach. Potem podniósł się nagle i rzekł:

— Idę.

— Dokąd?

— Powiedzieć jej ostatnie: „bądź zdrowa!“ Biedactwo czeka jeszcze na mnie.

Wziął karabin i wyszedł. Zostałem sam ze śpiącym Marxem. Odgłosy bitwy nie cichły, przeciwnie, stawały się coraz wyraźniejsze. Łuna tylko bladła, bo rozpoczynał się brzask nocny. Szyby zbielały. Czarne kontury gałązek stawały się coraz widoczniejsze. Oparłem się na dłoni i począłem rozmyślać. Nie rozmyślałem o tem, co się stało.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przedruk wzbroniony).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

52) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO

— —

(Ciąg dalszy.)

— Ah, to pan podsłuchiwałeś nas!

— Nie, słyszałem tylko przypadkiem rozmowę państwa, mieszkam bowiem w przyległym pokoju, razem z moim przyjacielem, hrabią Kosińskim. Że zaś ściana ta jest tylko z cienkich desek zrobioną, przeto można słyszeć każde słowo zupełnie dokładnie. Ale tajemnica, o której była mowa, interesuje mnie tem więcej, że i mnie pośrednio dotyczy. Jeżeli pani.....

— Nie rozumiem tego, — przerwała lady Wiktorya. — Doznałam dziś tyle wrażeń, że w głowie mi się miesza, i nie mogę wszystkiego od razu pojąć. Powiedz mi pan tylko — czy to twój głos słyszałam poprzednio? Czy to pan mówiłeś, że moja córka żyje?

— Tak! Nie mogłem się powstrzymać od wymówienia tych słów — wszakże chodzi tu o tę, która mi jest najdroższą, najmilszą na całym świecie istotą!

— Boże mój, jaka to nowa zagadka! Ale nie męcz mnie pan dłużej! Jeżeli wiesz, gdzie moja córka się znajduje, to powiedz mi, i bądź pewien, że wdzięczność moja będzie bez granic, bez końca! Mów pan, zlituj się nad nieszczęśliwą matką! Czy ona zasługuje na moją miłość, czy nie......

— Córka pani, Józefina Wilberg, — przerwał Maksymilian, — zasługuje na miłość i szacunek pani! Ja najlepiej wiem o tem — bo ja jestem jej mężem!

— Pan — jej mężem, — powtórzyła lady Wiktorya jak we śnie.

— Tak! Prawdziwe moje nazwisko jest też inne, jestem bowiem Kronau, ale chwilowo muszę jeszcze nazywać się Dorn — później wolno mi będzie wszystko pani wyjaśnić.....

— Gdzie jest Józefina, gdzie moja córka? Czy mogę ją do serca przycisnąć zaraz — natychmiast, czy też muszę się przygotować na nowe rozczarowania?

Gdzie Józefina znajduje się obecnie, tego powiedzieć nie umiem! Wyższa wola rozłączyła mnie z nią na kilka lat — proszę jednak milady, nie pytaj mnie o nic, bo mi nic mówić nie wolno! Ale główna rzecz, Józefina żyje i wkrótce pewnie zdołasz ją pani odszukać! Potem i ja skończę moją pokutę i będziemy wszyscy razem szczęśliwi!

— Opowiedz mi pan, jak wygląda moja córka, jaka jest — jak ją wychowali ci Hilbertowie!

— Józefina jest aniołem! — zawołał Maksymilian z zapałem. — Piękna, dobra, szlachetna, nie ma drugiej takiej na świecie! Co zaś do Hilbertów — są to złoczyńcy w całem znaczeniu tego słowa! Chcieli oni kilka razy sprzedać Józefinę — ale Bóg uchronił ją od złego.

Lady Wiktorya złożyła ręce jak do modlitwy.

— Dziękuję ci, mój Boże, —szepnęła.

— Pokochałem Józefinę od pierwszego spojrzenia, — mówił Maksymilian dalej, — i gdy poznałem jej cnoty i zalety, postanowiłem się z nią ożenić. Ale dumna moja rodzina nie chciała na to pozwolić — wzięliśmy więc ślub potajemnie, bo za nic w świecie nie byłbym jej się wyrzekł! Józefina wróciła do Hilbertów, i nie chciała odemnie przyjąć nic dopóty, dopóki nie zostanie jawnie uznaną za moją żonę.

— O, ile ona wycierpieć musiała!

— Tak, ale co potem się działo, tego mi już powiedzieć nie wolno! Przez kilka lat muszę żyć pod innem nazwiskiem — zdala od mojej ubóstwianej żony — — jest to pokuta za przewinienie. — —

— Jeżeli pan musisz zachować tajemnicę, to ja naturalnie pytać nie będę. — Niech ci Bóg zapłaci za słowa pociechy — przyjmij podziękowanie i błogosławieństwo matki. — —

ROZDZIAŁ LXXI.

Dwóch włóczęgów.

W domu doktora Tritoni panował od kilku dni wielki smutek.

Zagadkowe zniknięcie księżnej Chimay było tego powodem, bo Rigo rozpaczał, a z nim razem rozpaczali i doktor i Józefina.

Młoda kobieta nie mogła już wrócić do domu księcia, chwilowo więc była u doktora i pozyskała od razu całą jego sympatyę.

Gdyby nie troska o Klarę, byliby mieszkańcy małego domku bardzo szczęśliwi, ale pytanie, co się z nią stało, niepokoiło ich niezmiernie.

Doktor Tritoni i Rigo przeszli niemal już cały Paryż, wypytywali najrozmaitszych ludzi o wszelkie zaułki, w których książę byłby mógł umieścić żonę, ale wszelkie usiłowania ich w celu odszukania Klary były daremne. W domach obłąkanych również zadawalniającej nie otrzymali odpowiedzi. —

Nikt nie słyszał o księżnie Chimay i nie widział kobiety do niej podobnej! —

Rigo szalał formalnie!

Jak cień przesuwał się po ulicach, i gdyby go Tritoni nie był przemocą zatrzymał, byłby poszedł wprost do pałacu księcia i zatopił sztylet w jego sercu.

— Tem najgorzej przysłużyłbyś się księżnie, — rzekł mu stanowczo.

Rigo zrozumiał napomnienie i przyrzekł, że tego nie uczyni.

— Przemocą niczego wogóle nie osiągniemy, — mówił Tritoni. — Toby tylko sprawę pogorszyło!

— Podstęp też nam nic nie pomoże, — odrzekł Rigo. — Co uzyskaliśmy dotychczas? Klary od tygodnia nie ma, i gdy pomyślę co się z nią mogło stać — ach — zdaje mi się, że rozum tracę!

— Dziś raz jeszcze musimy spróbować, może nam się powiedzie, — zawołał Tritoni.

— Ach, ja już nie mam żadnej nadziei!

— Tem lepiej, nie doznamy przynajmniej żadnego rozczarowania. Posłuchaj mnie! Tu w Paryżu żyje pewien starzec, dziwak, jakich mało, ale wszyscy złoczyńcy uważają go za rodzaj jakiegoś proroka. Nazywa on się Castelin, ale policyanci i wszyscy w ogóle znajomi zowią go prorokiem złodziei. Był to swego czasu jeden z najgorszych zbrodniarzy, większą część życia przepędził w więzieniu, ale potem zmienił tryb życia, służył nawet policyi i w końcu gdy zestarzał, zaczął się zajmować przepowiadaniem ludziom przyszłości. Zanim teraz jaki złodziej wybiera się po łup, idzie najpierw do niego i każe sobie wróżyć, czy mu się kradzież powiedzie czy nie. Przepowiednie jego sprawdzają się zwykle, bo jako wytrawny złodziej każe sobie najpierw cały plan przedłożyć i poznaje odrazu, czy wykonanie jest możliwe, czy też nie może się udać. Udziela też rozmaitych dobrych rad, a że ich udziela najdokładniej, przeto rady jego i wskazówki są warte złota! Może on słyszał co o porwaniu księżnej Chimay!

— Więc idźmy natychmiast do niego! — zawołał Rigo. — Gdzie on mieszka?

— O, to nie tak łatwo iść do niego! Jest on bardzo podejrzliwy i nie ufa nikomu! Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli pójdziemy do niego w przebraniu, pod innemi nazwiskami. On jest ostrożny, ale i ja mu nie dowierzam! A teraz przynieś mi cygaro, Rigo, z mego pokoju!

Cygan wybiegł natychmiast, doktor zaś rzekł do Józefiny:

— Rigo jest tak nerwowo rozdrażniony, że obawiam się, aby nie zachorował. Muszę zapobiedz temu — dlatego nie zlęknij się pani i nie dziw się. — —

I zanim Józefina zdążyła odpowiedzieć, wyjął z kie-

szeni buteleczkę i nalał kilka kropli w kieliszek wina, stojący na bufecie.

Równocześnie wrócił Rigo z cygarem.

— Dziękuję ci, — zawołał doktor. — Wypijmy kieliszek wina na pomyślne załatwienie naszej sprawy, i na zdrowie księżnej!

I podał wino cyganowi.

Rigo wypił aż do ostatniej kropli, ale zaraz potem osunął się na krzesło, zamknął oczy i — usnął.

— Tego chciałem, — szepnął Tritoni z uśmiechem, — prześpij spokojnie jednę chociaż noc, a jutro może będę ci mógł powiedzieć, gdzie szukać księżnej. Pomóż mi go pani przenieść na kanapę — zamknę go tu w tym pokoju, my zaś oboje poszukamy starego Castelina.

— Zabierzesz mnie pan z sobą do niego? Ale czy mu to nie podpadnie, że kobieta.....

— Nie pójdziesz pani tam jako kobieta, przerwał Tritoni, — tylko jako mężczyzna. Ubranie mam dla ciebie przygotowane. Idź pani do swego pokoju i przebierz się!

I otworzywszy szafę, wyjął z niej zawiniątko i podał je Józefinie.

— Ale nie zlęknij się, — dodał, — na widok tego stroju! Jako elegancki panicz nie możesz tam iść!

Józefina poszła do swej sypialni, zmieniła ubranie, spojrzała w zwierciadło, i o mało nie krzyknęła przestraszona.

Wyglądała ona, jak ostatni włóczęga. Połatane spodnie, podarta westka, podobny surdut i wysokie, podziurawione buty oraz wykrzywiony stary kapelusz — wszystko to składało strój prawie niemożliwy. Jedyną ozdobą była czerwona krawatka. W kieszeniach surduta znalazła rewolwer i sztylet, widać, że jedno i drugie było potrzebne na wizytę, jaką miała oddać staremu prorokowi złodziei.

Tritoni był także już gotów — i jego strój nie wyglądał inaczej! Na plecach dźwigał przytem małą katarynkę, a w rękach trzymał gruby, ciężki kij dębowy.

— Pewnie by nas najlepsi przyjaciele nie poznali, — rzekł śmiejąc się. — Najpierw pojedziemy omnibusem, bo żaden dorożkarz nie chciałby nas wozić po mieście, a potem musimy iść pieszo. Droga dosyć jest daleka — mniej więcej dwie godziny. — —

— Gdzie mieszka Castelin?

— W jaskiniach w Passy!

— O, słyszałam już coś o tem — ma to być okropna miejscowość!

— Tak jest, mieszkają tam sami zbrodniarze, dlatego w przyzwoitem ubraniu nie można się tam pokazać. Z tego powodu musieliśmy się zamienić w włóczęgów. A teraz idźmy!

Z początku jechali oboje omnibusem, ale od bramy St. Denis musieli już iść pieszo. Deszcz zaczął padać i wędrówka ta na rozmiękłej ziemi, w ciemności wcale przyjemną nie była. Józefina oglądała się na wszystkie strony i szła milcząc, obok swego towarzysza.

— Widzisz pani tam, na prawo, światła, — odezwał się po chwili Tritoni. — Są to owe osławione jaskinie w Passy. Obecnie znajdujemy się w najniebezpieczniejszej części Paryża, można śmiało nawet powiedzieć, że tutaj ziemia krwią przesiąkła!

— A gdzież jest dom owego Castelina?

— Zaraz tam staniemy! Proszę pani tylko, mów jak najmniej, bo stary ten zbrodniarz nadzwyczaj jest ciekawy i będzie się wszelkiemi sposobami starał dowiedzieć, kto my jesteśmy! Ja zaś tego nie chcę, pod żadnym warunkiem! Wmieszałby się niepotrzebnie w nasze sprawy i wyłudzałby od nas pieniądze. Widzisz pani jego dom? Otóż tu zaraz! Naprzeciwko leży inny domek, ładniejszy trochę i porządniejszy — okna na dole oświecone, nie wiem, kto tam mieszka, ale mniejsze o to! Więc jeszcze raz proszę — nie wymawiaj pani jednego słowa bez namysłu!

Po chwili zapukał Tritoni do drzwi ciemnego, ponurego budynku, i zaraz potem odsunięto w sieni ciężki, żelazny rygiel.

Na progu stanął Castelin!

ROZDZIAŁ LXXII.

U proroka złodziei.

Castelin był bardzo już starym, ale zawsze jeszcze rzeźwym człowiekiem, a bystre jego oczy zdawały się przenikać na wskroś każdego. Długie, białe włosy spływały mu na ramiona, nadając całej jego postaci pozór patryarchy, ale wyraz twarzy przypominał raczej drapieżnego sępa, niż czcigodnego starca.

— Jesteście tym, którego ludzie zowią prorokiem złodziei? — zapytał Tritoni cicho.

— Tak!

— W takim razie pozwólcie mi wejść do waszego domu. Chcę was zapytać o coś — jeżeli odpowiedź będzie pomyślna, wynagrodzę was hojnie. — — —

— A jeżeli nie?

— To i wtenczas zapłacę wam za fatygę!

— Wejdźcie! Co mogę, uczynię! Ale ja jestem biedny kaleka, na jedno oko nic nie widzę, nie znam dzisiejszego Paryża — więc nie wiem, czy będę wam mógł służyć! Chory jestem, słaby — ledwie żyję.....

— Zobaczymy! — rzekł Tritoni, wsuwając mu na zachętę kilka złotych monet w rękę, zwracając się zaś do Józefiny, dodał:

— Wszystko to komedya — on udaje niedołężnego, chorego, a w rzeczywistości oszuka najprzebieglejszego detektiwa. Przekonasz się pani zaraz sama o tem!

Pokój, do którego Castelin gości swych wprowadził, był pokojem prawdziwego żebraka, ale i to było komedyą. Stary złodziej posiadał znaczny majątek — dwa piękne domy na bulwarach Hausmanna należały do niego, a oprócz tego miał dużo gotówki w banku. Brał on wszystko, co mu dawano, jeżeli nie złoto, to srebro, a nawet i koprowiną nie pogardzał.

Teraz wskazał gościom połamane krzesła, sam zaś usiadł na nędznem, żelaznem łóżku.

— Kto pan jesteś? — zapytał swym krzykliwym, ostrym głosem. — Musicie mi wymienić wasze nazwiska, inaczej nie mogę wam udzielić rady.

— Nazwiska nasze żadnego nie mają tu znaczenia, — odrzekł Tritoni stanowczo, — widzicie, że jestem starym kataryniarzem — inwalidą — walczyłem pod Napoleonem, byłem pod Solferino, Magenta, a ten młody chłopiec, to mój siostrzeniec.

Castelin rozśmiał się głośno.

— Ile słów, tyle kłamstw, — zawołał, — starego Castelina nikt nie oszuka! Gdybyś pan był kataryniarzem, to nie zostawiłbyś swej katarynki w sieni, tylko wniósłbyś ją do pokoju i nie spuszczałbyś z niej oczu — byłby to przecież cały twój majątek! Inwalidzi nie noszą pierścionków, a siostrzeniec pana jest chyba siostrzenicą, bo to przebrana za mężczyznę kobieta!

— O, ten stary lis, — szepnął Tritoni zdumiony. Zapomniał rzeczywiście o swym brylantowym pierścieniu!

— Więc przebraliście się oboje, — mówił Castelin dalej, — ale o to mi nie chodzi. Dałeś mi pan sześćdziesiąt franków — obiecałeś więcej — to wystarcza! Czego pan żądasz odemnie?

— Wiem, że znacie wszystkie kryjówki i zaułki paryzkie! Przed tygodniem znikła nagle pewna dama z wielkiego świata — domyślamy się, że mąż ją usunął, że oddał ją do jakiego domu obłąkanych w okolicy Paryża, albo może w Paryżu samym..... Powiedzcie nam więc, który zakład przyjmuje pozornie chorych? Który dyrektor wdaje się w podobne sprawy?

Castelin spuścił głowę i zamyślił się.

— Czy panowie szukacie księżnej Chimay? — rzekł po chwili.

Tritoni zerwał się z krzesła. Czy ten stary łotr był rzeczywiście wszystkowiedzącym?

— Zkąd przychodzicie na myśl, że księżnej Chimay szukamy? — zawołał.

— Bo wiem, gdzie ona jest, i jeżeli mi pan zapłaci dobrze, to powiem wszystko.

— Ile chcecie?

— Pięćset franków!

— To dużo pieniędzy, i chociaż się dowiemy, gdzie ona jest, to zawsze jeszcze nie mamy sposobu na oswobodzenie jej! Dam wam sto franków!

— Ach, ja jestem taki biedny, nie mam sobie za co kupić kawałka chleba, i pan nie życzysz mi trochę zarobku!

— Nie odgrywajcie nam tu komedyi, — rzekł Tritoni. — Chcecie sto franków, czy nie?

— Chcę, dawaj pan!

(Ciąg dalszy nastąpi).